



Wydawca i redaktor: Stanisław Błotnicki.

POWIEŚĆ.

PIEKIEŁKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

MICHAŁ WOŁOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Bąbalewicz, gdy mu co raz wlało do głowy, nie tak łatwo dał sobie wyperswadować, a cóż dopiero, gdy szło o politykę, w której uznawał się za mistrza nad mistrzami i w której zawsze decydujący głos zabierał.

Zawsze wesoły i pewny siebie Marcinkiewicz, tym razem od swojego przyjazdu ze Lwowa i od owej rozmowy z Trzaską stracił zupełnie kontenans, chodził jak błędny i miejsca sobie znaleźć nie mógł. Zwracało to uwagę wszystkich a naturalnie w pierwszej linii Bąbalewicza, który swoim współobywatelom powtarzał nieustannie, iż redaktor myśli, a gdy myśli, to już dobrze, bo niezawodnie coś dobrego wymyśli.

Stan jednak szanownego reprezentanta opinii publicznej nie pochodził wcale ani ze strachu przed Trzaską, ani z rozmyślań nad sytuacją polityczną i prawdopodobnym rezultatem wyborów — bynaj-

mniej. Panu Marcinkiewiczowi dokuczalo zupełnie co innego, a mianowicie zamknięte drzwi buduaru pięknej pani Szydłowieckiej, którą nazajutrz odwiedził a która go nie przyjęła.

Powtórzyło się to tak po paru dniach następnych.

Od drzwi tak dotąd poważany, ceniony redaktor odchodził zawsze, kilka razy nawet dziennie z jedną odpowiedzią: »pani nie ma w domu«.

Nie mogąc wejść do żony, Marcinkiewicz naturalnie zapukał do męża, ale tutaj spotkała go jeszcze dotkliwsza odpowiedź.

— Pan kazał powiedzieć, że nie przyjmuje.

Ta druga odpowiedź zdziwiła jeszcze więcej redaktora. Pierwszą przyjmował za kaprys kobiecy, za ostrożność zachowaną po wypadku, drugiego nie rozumiał wcale, bo nie wiedział zupełnie o znalezieniu listu pisanego przez Szydłowiecką do niego. Wściekłość tej ważnej i zarazem poważnej osoby doszła kulminacyjnego punktu, gdy natarczywie nachodząc mieszkanie Szydłowieckich a jeszcze natarczywiej anonsując się u pani, spotkał się przy wejściu z hr. Juljuszem Drzyńskim. Skamieniał, gdy mu służąca powtórzyła zwykły frazes: »pani w domu niema«, a tuż za nim hr. Juljusz wszedł i został przyjęty.

— Cóż to za żarty, — syknął przez zęby. — Ach, panie Trzaska, czuję tutaj twoją robotę, ale nie z takimi wojowałem w mem życiu, jeszcze mam siłę w mych rękach i tak łatwo na dudka wystrychnąć się nie dam.

Gdy tak fatalnie spotkał się z Trzaską i w taką wpadł pułapkę, że musiał rzec się całej

satysfakcji obklepania błotem Liwskiego, pomyślał o Radwanowej, ją wybierając jako narzędzie swej roboty. Myśl ta na nowo weszła mu do głowy, gdy znalazł się wobec strasznego i bolesnego niezmiernie dlań faktu zamknięcia drzwi przed nosem domu Szydłowieckich. Zagrożonym był podwójnie, musiał ratować sytuacją nie tylko wobec pani swego serca, ale i swoją własną, swojej powagi, tej powagi, której nikt dotąd w miasteczku dotknąć się nie ośmielił, nikt zakwestjonować.

Nie namysławiając się więc długo, wprost po afroncie, jaki go spotkał, gryząc wargi z wściekłości, skierował swe kroki w stronę piekielka, gdzie naturalnie generałowa przyjęła go z otwartymi rękoma, usadowiła na honorowym miejscu i obsypywała zaczęła tysiącami grzeczności, po których jak po lekarstwie przeciwtruciznowem odetchnęła pełnemi piersiami ta powiatowa znakomitość.

Pana Józefa natomiast zastał w najgorszym humorze! Chodził on po pokoju wielkimi krokami, od czasu do czasu podśpiewując sobie jakieś bardzo tkliwej natury piosnki, za czuprynę się tarł, jednym słowem najmniej bystry postrzegacz z jego fizjonomji byłby odrazu odgadł, że w tej chwili zupełnie do wesołości i rozmowy ochoty nie ma.

Marcinkiewicz jednak z tropu zbić się nie dał. Wszakże on posiadał już wyrobione stanowisko, a ludzi z wyrobionem stanowiskiem z tym humorem traktować niepodobna, i on bądź co bądź traktować się nie pozwoli. Zapalił więc cygaro, którem poczęstowała go generałowa, pan Józef bowiem tak był zaaferowany, że o gościu wcale nie zdawał się myśleć, i cedząc słówko po słówku, jak to miał w zwyczaju, z lekceważeniem sobie właściwem zwrócił się wprost z pytaniem do przyszłego posła z okręgu.

— Cóż to panu dobrodziejowi dolega? — zdajesz się być w nieszczególnym humorze kochany panie Ślepowroński.

Pan Józef zatrzymał się przed mówiącym, swoje pocziwe oczy ku niemu zwrócił i sapiąc zawołał:

— Panie kochany, jesteś pan podobno znakomitym człowiekiem, znakomitym dziennikarzem?

— Tak raczą mówić, odparł z właściwą sobie skromnością Marcinkiewicz, w której jednak czuć było całą jego niebotyczną zarozumiałość i dumę.

— Otóż powiedz mi pan, jak może człowiek mający odrobinę oleju w głowie stawiać gdziekolwiek bądź swoją poselską kandydaturę?

— Jakto, nie rozumiem.

— No rzecz prosta, posłować to znaczy pracować dla współobywateli, ujadać się z rządem w ich interesie, tracić na gospodarstwie i majątku

na wsi, których nikt nie jest w stanie przypilnować jak się należy, gdy nie ma pana w domu. Jest to więc poświęcić się dla dobra ogólnego i według mego zdania poświęcić się bardzo.

— Najniezawodniej.

— A jakaż za to nagroda? — zawołał prawie z pasją pan Józef.

— Jaka?

— Tak, pytam się pana jaka?

— Wewnętrzne przekonanie, że się spełniło dobrze swój obowiązek, że się przyłożyło cegielkę do ogólnego dobra, no i co zatem idzie, uznanie obywateli.

— A niech was gęś kopnie z waszem uznaniem obywateli, zawołał gwałtownie pan Józef. Nie lubię czytać dzienników, nudzą mnie one, ale kiedy pani siostra kazała gwałtownie, a więc chociaż zasypiałem nad nimi, jednak męczyłem oczy do upadłego. Dziś, proszę szanownego pana, zwłaszcza po dobrym obiadku, ot tak sobie dla zwyczaju, wzięłem do ręki tę zadrukowaną bibułę, rzucam okiem i coś czytam, posłuchaj pan.

Tu pan Józef z bocznej kieszeni surduta wyjął olbrzymią gazetę, okulary na nos wdział i powoli czytać zaczął.

— »W S. jest bardzo prawdopodobnem utrzymanie się kandydatury pana Kalasantego Beszczińskiego«. Znam go, panie dobrodziej, najpocziwszy chłop, w gieryłasza gra jak młody anioł. Ale dotąd to nic jeszcze, można jakoś wyjść z tego. Słuchaj pan tylko dalej: »Wprawdzie z okręgu miejskiego S. przyzwyczajeni byliśmy zawsze na ławach poselskich oglądać okazy oryginalnej natury, ale taki okaz to już przechodzi wszelkie granice możliwości. Co powiedzieć o takim sejmie, który będzie w swem gronie posiadał takich reprezentantów naszych interesów, znających się na nich jak koza na pieprzu«.

— Słyszałeś pan, tu wyraźnie stoi napisane czarne na białem »jak koza na pieprzu!« Cóż pan na to? Ale i to jeszcze nie dosyć, słuchaj pan dalej, bo teraz dopiero korona wszystkiego: »jeżeli się z takich capów, bałwanów i niedołęgów składać będzie przyszła nasza izba prawodawcza, to powinszować sobie możemy, żeśmy weszli w bagno, z którego sam djabeł nas za uszy nie wyciągnie, choćbyśmy mieli tak długie jak panowie posłowie«.

— No, panie, tak się pisze o reprezentantach narodu, tak piszą o moim ukochanym Kleofasku, który jest mistrzem w gieryłasza, sto razy więcej wie i umie odemnie. Cóż oni, panie, gotowi na-

pisać, gdy ja zyskam zaufanie tak zwanych obywateli? Panie, to Sodoma i Gomora, »koza na pieprzu, capy, bałwany, niedołęgi«.

— Panie kochany, ale też jabym, jak mi Bóg miły do tych dziennikarskich gawroszów, jak do bekasów we łby strzelał, gdyby mnie coś podobnego spotkało. Dzięki, stokrotne dzięki, nikt mnie nie jest zdolnym do czegoś podobnego nakłonić. Dla tego stanowczo kandydatury nie przyjmuję i rzecz skończona, niechaj tam siostra sobie wyprawia co chce, a mnie to na co, kłaść zdrową głowę pod ewangelję i takie herezje, za najlepsze chęci o sobie czytać. Nie, nie. Nie głupim Aleksander Prądzyński, na tortury raczej jak na godność poselską.

Jenerałowa aż podskoczyła na stołku, gdy pan Józef to zakłęcie z impetem najwyższym wypowiedział.

— Ależ, co też pan brat mówisz? że tam jakiś nędzny gryziپیórek najpospolitszego kalibru ośmielił się jakieś oszczerstwo napisać, to ma być zaraz powodem do niechęci. Przypomnij sobie pan brat, że najwięksi ludzie na ziemi cierpieli za prawdę męczeństwo.

— No to niechaj tam sobie cierpią, życzę im smacznego apetytu, ale co do siebie, to wcale nie mam ochoty być męczonym, wcale mi życie miłe. I tak właśnie zaraz na tym balu im powiem. Potrzeba się bić, będę bił, potrzeba dać pieniędzy, dam, ostatnią koszulę z grzbietu zdejmę i dam, ale żebym moje szlacheckie nazwisko na taką poniewierkę dziennikarską wystawiał, o, tego nie dokażecie, tego nikt do kroćset nie dokaże, choćby tak mi dokuczał jak pani siostra nieprzymierzając.

— Panie bracie, proszę się nie zapominać, — zawołała dotknięta jenerałowa.

— Zapominać, nie zapominać, wszystko mi jedno już teraz, nie zrobisz nic pani siostra ze mnie, a jeslibym jeszcze wobec jej nacisku ustąpił. Kiedy, to sobie zaraz przed oczy też same gazety rozłożę, odczytam je, no i z łatwością się wyleczę. To moje ostatnie słowo, pani siostró. A teraz pan Marcinkiewicz wybaczy, że go tutaj na konferencji z jenerałową zostawię, ale wyjść muszę odetchnąć świeżem powietrzem, bo inaczej czuję, żeby mnie najniezawodniej szlag trafił, a chwała Bogu dla Zuzi moje życie jest jeszcze na coś potrzebne.

Uchwyciwszy czapkę i uściśnawszy na pożegnanie rękę Marcinkiewiczowi, Ślepownoński wyleciał z domu jak kula działowa, na ogród i w gąszczach jego zniknął.

Pani jenerałowa i redaktor zostali sami.

Jenerałowa uznała za właściwe i stosowne wyciągnąć batystową chusteczkę z kieszeni, podnieść

do ocz i westchnąć głęboko, Marcinkiewicz wzruszyć ramionami.

— Całe moje życie było męczarnią, panie redaktorze, a teraz oto widzisz, co ja znosić muszę od tego upartego człowieka i to wówczas, gdy od jego postępowania cała przyszłość jego dziecka zależy. Gdybyż to była pierwsza, gdyby ostatnia, panie redaktorze scena, ale takich tysiące mam codziennie i doprawdy gdyby nie poświęcenie dla mojej nieboszczki siostry, która była prawdziwym aniołem, choć taki mezalians popełniła, czego jej przebaczyć nie mogli nasi świętej pamięci rodzice, dawno już opuściłabym to prawdziwe piekło, w którym dla duszy odrobiny spokoju znaleźć niepodobna.

Marcinkiewicz w tem miejscu uznał również za odpowiednią rzecz zaakompaniować westchnieniem tej smutnej tyradzie jenerałowej, po małej chwili jednak sobie właściwym zawołał tonem, z którego przedewszystkiem przebijała się największa pewność siebie.

— Bądź pani jenerałowa spokojną, my czuwamy, a pan Ślepownoński choćby sam nawet nie chciał, posłem zostanie, za to ręczę.

— Ależ jeśli tak się znajdzie, jak zapowiedział.

— A, już to tak urządzimy, że go wyborcy do głosu nie dopuszczają.

— O panie, wdzięczności mej nie będzie granic dla pana.

— Łaskawa pani, w polityce nie ma wdzięczności, jest tylko interes.

— Interes?

— Nie inaczej, ja przyrzekam pani pana Ślepownońskiego zrobić posłem, pani w zamian za to musisz mi wyświadczyć inną przysługę.

— Rozkazuj pan, spełnię wszystko!

W tej chwili szlachetny Marcinkiewicz zapomniiał o wszystkim, a tylko w mózgu jego wierciła obraza, jakiej ze strony Szydłowieckiej doznał i za jaką pragnął się gorąco zemścić.

— Trochę to drażliwa materja, — zaczął tedy cedzić przez zęby...

— Przysługa za przysługę — powtórzyła jenerałowa.

— No, ale prawda, wszakże w polityce nie ma drażliwych kwestyj.

— Podzielać w zupełności pańskie zdanie.

— Otóż, co do tego Liwskiego.

— Naszego przeciwnika?

— Tak pani, zmienilem teraz zdanie, zdaje mi się, że lepiej będzie sprawę przed balem rozgłosić, jak ją uskandalizować na balu.

— Tak pan sądzisz?

— Tak pani, gdy się wyborcy o tem dowiedzą, oni sami tego pana za drzwi wypchną. Pani

dobrodziejka nie masz nawet pojęcia, jakie delikatne nerwy na tym punkcie ma cała ich demokracja. Doprawdy, boki zrywać można, jak ci trybunowie ludu dbają o swoje klejnoty szlacheckie, jest to jedna z ich stron najdrażliwszych. Uderzyć w nią i umiejętnie wyzyskać, znaczy to samo, co utrzymać się na placu jako zwycięzca.

— Cóż tedy pozostaje nam do roboty?

— Zręczne półsłówka, dowcipne kalambury, odslanianie tu i owdzie tajemnicy urodzenia tego pana, danie możności wyborcom zrozumienia tej gry, no a skoro tylko przejrzą, możesz być szanowna pani spokojną, że kandydat postępowego stronnictwa najhamiebniej przepadnie.

Oczy pani generałowej zaświeciły się złowrogim blaskiem. Tryumfował, nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że generałowa z danego jej pozwolenia skorzystała z całą zaciętością plotkarskiej natury kobiecej.

— Zatem, po założeniu takiej miny, możemy być przekonani, że pan Józef okręć nasz wkrótce reprezentować będzie, w sejmie a następnie i w radzie państwa. Wszystko jednak, powtarzam, zależnem jest od pomyślnego skutku naszej agitaacji, od tego właściwie mówiąc, jak szybko rozejdzie się ta wiadomość, którą pani udzieliłem i zdoła odpowiednio umysł przygotować. Inaczej, łaskawa pani za nic ręczyć nie można. Mamy bardzo groźnego przeciwnika!

— W panu Liwskim! — zawołała z pewnem lekceważeniem w głosie generałowa.

— Ach, byłoby to drobnostką, nie mogę się domyśleć, dla czego po za nim stoi Trzaska, agituje bardzo sprytnie a my tutaj dobrze wiemy, że to groźny przeciwnik.

— Wszakże jemu także miałeś pan redaktor powierzyć tajemnicę urodzenia tego człowieka.

— I powierzyłem, ale coś nie bardzo był z tego zadowolony. Myślałem, że on ją w lot pochwyci, między wyborcami rozniesie, tymczasem stało się przeciwnie, a dziś tylko za Liwskim tu i owdzie odzywają się głosy wyraźnie, przeciwko niemu nie ma nikogo. Takie wypadki w akcji wyborczej są zazwyczaj najniebezpieczniejszymi objawami.

— No, no, bądź pan spokojny, już ja się postaram o postawienie tej kwestji na właściwym gruncie i jeśli tylko zwycięstwo na tem polega, z góry za nie ręczyć mogę.

— Tylko na tem, pani generałowo dobrodziejko.

— Zatem rzecz załatwiona.

— Liczę na panią.

— Jak na Zawiszę, — dorzuciła agitatorka p. Józefa.

Marcinkiewicz tymczasem, uznawszy misję swoją za ukończoną, nadział paliowe rękawiczki, ukłonił się bardzo uprzejmie i salon piekiełka opuścił.

Wracając do domu, umyślnie drogę wybrał około willi Szydłowieckich, przechodząc zaś obok szlachet, otaczających ogród, z wściekłością zauważył, że dotychczasowe jego bóstwo wędrowało sobie najspokojniej po ścieżynkach ogrodu z panem hrabią, uśmiechała się do niego, a kto wie, może już była z nim na tej drodze, która to nie pozostawia dla mężczyzny nie do żądania. Na samo to wspomnienie, na samą myśl, zazdrość szarpnęła znów gwałtownie sercem redaktora.

Tak mu dotąd wygodnie było na tem stanowisku, tak rozkosznie, dziś wysadzony z siodła przez hrabiego Juljusza, do ostatniej wściekłości i pasji dochodził, pogniół nawet elegancki dobrze wykrochmalony przód koszuli, schwyciwszy zań rękami, gdy spacerującego z nią rywala zobaczył.

Radwanowa tymczasem po wyjściu Marcinkiewicza rozmyślać poczęła nad jego słowami i całą sytuacją. Jako kobieta sprytna, nie mogła nie spostrzec tajemniczej sympatji łączącej Zuzię z Karolem, a więc przedmiotem pierwszej operacji uznała za stosowne uczynić serce młodego dziewczęcia.

— Tak, to ją niezawodnie wyleczy, szepnęła do siebie i w ślad za tą myślą zadzwoniła na służącą, której poleciła poprosić panienkę.

Zuzia zaabsorbowaną była w tej chwili całą balem, a na końcu wszystkich jej starań o ładny krój, o dobór kolorów na materjach, któreby były dla niej do twarzy, stał nie kto inny, jak łatwo się domyśleć, tylko Karol. Wszakże ona kochała go już dawniej, kochała pierwszym uczuciem, a takie uczucia nie tak łatwo z serc młodocianych wyrugować się dadzą. Teorja cioci, oddalenie, wpływły niezawodnie na osłabienie w pewnej mierze tego uczucia. Skrępowały je formą, niewolniczem salonowem „nie wypada“, ale na dnie tego wszystkiego zostało uczucie, które łatwo w płomień się zamienia.

Przybycie Janiny obudziło dawne wspomnienia i rozdzieliło dawne iskry jeszcze bardziej, ale wszystko to razem wzięte nie zdołało się skryształizować tak, jakby się to stało niezawodnie z kobietą posiadającą charakter.

Janina panowała nad nią bezustannie, bo chodziło jej o szczęście przyjaciela, ale wpływy te miały przy wpływach generałowej, która zawsze żywymi przykładami umiała utrzymać jakąś taje-

mnieżą grozę w dziewczęciu w obec tego uczucia, które nazywała najnieprzyzwoitszym pożarem. Zresztą do tego wszystkiego przyłączyła się jedna okoliczność, a mianowicie to nauczanie ustawiczne form salonowego życia, które w najsubtelniejszych nawet drobnostkach, pustych i nie nie znaczących, musiało wynaleść prawa i formułki dzikie, zmuszające umysł młody do ciągłego baczenia na siebie, a tem samem nieśmiałości i pokrywania z ręcznego swych myśli.

Niestety, zasada Taleyranda, że mowa służy do ukrywania swych myśli najszerze ma zastosowanie w towarzyskim życiu naszym, pozór, formułka, zajęły tam istotną treść wszystkiego i dzięki temu, w salonach zgromadzamy się nie dla wspólnej wymiany myśli, ale dla wspólnego okłamywania się po największej części.

Ten kierunek wyrobił najniebezpieczniejsze z niewolnictw — niewolnictwo formy, które określa krój fraka, właściwość czasu, w którym go się na siebie wkłada, lub kolor krawatu, ale najmniej się zajmuje tem co na dnie duszy siedzi, co winno być istotnym klejem w towarzyskich stosunkach, to jest na wspólności myśli, dążeń i kierunków.

Zuzia właśnie zajęta była z Janiną przerzucaniem dzienników krajowych i zagranicznych poświęconych modzie, gdy służąca objawiła jej chęć jenerałowej widzenia się z nią.

Sama grzeczność nie pozwalała na wezwanie nie pospieszyć natychmiast, to też Zuzia, porzucawszy dzienniki, pobiegła do ciotki w przekonaniu, że ona jej coś a propos tego ciekawego balu powie.

Do pokoju więc wpadła żwawo, ale na samym wstępie doznała zaraz dziwnego wrażenia chłodu, który wiał z surowej twarzy jenerałowej; zatrzymała się więc przy drzwiach i zawołała:

— Cioteczka mnie wołała?

— Tak moje dziecko, proszę cię usiądź tutaj, chcę z tobą pomówić obszerniej.

Zuzia знаła te obszerniejsze przemówienia, to też na ich wspomnienie zmarszczyła brwi, z pewną irytacją usiadła opodal krzesła jenerałowej.

Chcąc jednak spróbować jeszcze wydobyć się z zatrzasku zawołała:

— Dobrze cioteczko, ale czy nie możnaby tej rozmowy odłożyć na później nieco, wpadliśmy właśnie w tej chwili z panną Janiną na myśl bardzo ładnej sukienki.

— To, co ci mam powiedzieć, jest stokrotnie ważniejsze od sukienki.

— Zatem słucham cioteczko!

— Moje dziecko, jesteś w tym wieku, że powinnaś bardzo na siebie zwracać uwagę.

— Alboż nie zwracam?

— Wiem, widzę, nie mogę tego nie przyznać, że od czasu mojego przybycia do was i uwolnienia cię z tej prawdziwie barbarzyńskiej pensji, jesteś o wiele lepszą, w każdym razie do doskonałości jeszcze ci bardzo wiele brakuje moje dziecko.

— A któż jest doskonałym na świecie, cioteczko, — zawołała rezolutnie Zuzia.

— Niezawodnie, ale naturalnem dążeniem człowieka winna być właśnie usilność bezustannego kształcenia się, tymczasem znów ze smutkiem wyznać ci to muszę, moje dziecko, że do tej doskonałości niestety bardzo ci wiele brakuje.

Tu Zuzia wybuchnęła srebrzystym śmiechem, co naturalnie jenerałowej podobać się nie mogło. Spojrzała więc surowo na siostrzenicę, której na to uśmiech na ustach zamarł i zawołała:

— Ten twój śmiech już dowodzi prawdy moich spostrzeżeń.

— No, tak, cioteczko i ja wiem, że mi jeszcze bardzo wiele brakuje.

— Naprzykład, moje dziecko, jak ty postępujesz z mężczyznami.

— Z mężczyznami?

— Ależ tak, to aż brzydko patrzeć.

— Cóż znowu zrobiłam?

— Nie szczególnego, ale jesteś tak śmiała, tak narzucająca się...

— Ja, cioteczko?

— Nie inaczej, zapominasz o tem, że młoda panienka powinna na każdym pilnować się kroku, bo nigdy nie można z góry nie powiedzieć o człowieku, którego się dostatecznie nie zna.

— Nic a nic nie rozumiem cię cioteczko.

— Dla tego też właśnie chciałam z tobą pomówić obszerniej.

— Już słucham

— Naprzykład ten pan Liwski...

Zuzia pokraśniała, co naturalnie nie mogło ująć uwagi jenerałowej. Po chwili jednak umiała się zdobyć na pewien heroizm i choć nieśmiało, z pewną energją zawołała:

— A cóż ciocia ma do zarzucenia panu Karolowi?

— Przedewszystkiem mężczyznę tak mało znanego jak ten pan nie nazywa się po imieniu.

— Więc cóż ciotunia ma do zarzucenia panu Liwskiemu?

(Ciąg dalszy nastąpi)

POEZJA.

Przekład z angielskiego Shelley'a.

Do!

Gdy zamilkł w przestrzeni ton wdzięczny dla serca
 Na strunach pamięci drga jego muzyka
 Gdy znikły już fiołki z leśnego kobierca
 Ich słodka woń jeszcze nam zmysły przenika.

* * *

Przestała żyć róża — lecz róży listkami
 Obsypiem kochankę a zdłużym ich trwanie,
 Podobnie uwiecznię myśli mej snami
 Twych myśli istnienie — gdy Ciebie nie stanie.

Filozofja miłości.

Zródło swe wody zlewa z strumieniem,
 Z oceanami łączą się rzeki:
 Niebios zefiry z słodkiem wzruszeniem
 W uściskach pędzą przez świat daleki.

* * *

Więc samotności gdy unikają
 Wiecznie zaś wedle prawa boskiego
 Twory z tworam i los swój splatają,
 Czemuż ja z moim nie splatam Twego?

* * *

Patrz gór wierzchołki niebo całuje
 I fal muskanie wciąż nas dolata
 Nigdy siostrzyczce kwiat nie daruje
 Kiedy pogardzi uściskiem brata.

* * *

Słońce całusy ziemi gorące
 W znak przywiązania zasęła swego,
 Lecz cóż całusów warte tysiące,
 Jeśli mi braknie całusa Twego?

F. P.

Opis zaćmienia

(wedle Flammariona i Arago).

Ze wszystkich zjawisk astronomicznych, całkowite zaćmienie słońca sprawia na wyobraźnię człowieka wrażenie najsilniejsze. Jakiż to bowiem musi być dziwnie groźny obraz, gdy nagle na zupełnie jasnym niebie znika źródło światła — słońce?!

Znany astronom francuski Flammarion w swej »Astronomji popularnej« temi słowy przebieg zaćmienia opisuje: »O pewnej godzinie, z najzupełniejszą dokładnością przepowiedzianej przez astronomów, świetna tarcza słońca poczyną ciemnieć z zachodniej strony; czarny odcinek koła powoli się posuwa i coraz większą część tarczy słonecznej zasłania. Jasność na ziemi powoli się zmniejsza; silne dotąd słońca promienie słabną, a na ich miejsce całą ziemię obejmuje ciemnawe, blade światło. Wtedy to ogarnia człowieka jakieś przykre uczucie przynębienia. Nareszcie z całej świetnej tarczy słońca został tylko wąziutki łuk... Ziemia jeszcze nie traci nadziei! Wszak ją tak długo ojcowskimi promieniami ogrzewało i oświecało słońce! Zdaje się, w tej chwili całe życie ziemskie wisi na włosku... Nadeszła uroczysta chwila: gaśnie ostatni promyk dnia: zmrok ponury ogarnia nas zewsząd, a tem czarniejszem wszystko się wydaje, im prędzej znikają ostatnie promienie. Wszystko gaśnie nagle w mgnieniu oka: cała natura zapada w głuche milczenie, wszystko co żyje na ziemi, ze zdziwieniem zda się spoglądać na nigdy niewidziane zjawisko. Człowiek, który przed chwilą rozmawiał, dzielił się wrażeniami ze swym sąsiadem, śledząc przebieg zaćmienia — nagle urywa na półsłowie, przerażony grozą wspaniałego zjawiska. Ptak, który wesoło przeskakiwał z gałęzi na gałąź, nagle urywa chowa się w gęstwinę liści. Pies szuka schronienia u nóg swego pana, kokosza rozpościera skrzydła nad swemi dziećmi — i wszystko co żyje — milczy zdziwione. Na sklepieniu niebios występują gwiazdy — nastaje noc, czasem zupełnie ciemna, ale częściej dziwna jakaś niezupełna: ziemię ciągle jeszcze oświecają czerwone promienie światła, odbitego od dalekich warstw atmosfery, po za stożkowatym cieniem księżyca leżących. Termometr spada nagle na kilka stopni w dół.

Ale cóż za cudowne zjawisko widzimy wtedy na niebie, gdy wzrok ześrodkujemy na jednym tym punkcie, gdzie przedtem świeciło słońce. Widzimy tam czarny krąg, otoczony świetną koroną, w której płoną ogromne snopy płomieni, wytryskujące z za-

RUCH NAUKOWY

O *zaćmieniu słońca*, które nastąpiło dnia 19. sierpnia, umieścił »Kraj« szereg zajmujących artykułów, z których podajemy na tem miejscu ciekawe wyjątki.

snutego przez księżyc słońca. Bóstwo dnia zdaje się wyrzucać z siebie różowe ognie po za granice zakrywającego go przed naszymi oczyma miesiąca. W ciągu 2—4 minut astronomowie badają te dziwne okolice słońca, które stały się widocznymi dla tego tylko, że księżyc na kilka minut zakrył tarczę słoneczną. A tymczasem ludzie milczą i z niecierpliwością oczekują końca zjawiska, którego nigdy nie widzieli i, prawdopodobnie, nigdy więcej nie zobaczą. Nagle z po za czarnej tarczy miesiąca przedziera się promień światła... Okrzyk zachwyty tysiąca głosów wita powrót słońca, tego słońca, które znów wraca takim czystym i jasnym, takim życiodajnym i wiernym swemu zadaniu, jakim nas niedawno i na tak krótko żegnało! W tym okrzyku dzwięczy prawdziwa radość... I rzeczywiście słońce, piękne słońce nie umarło, ale się tylko schowało: ono takie same, jakim było przedtem — nie zmieniło się wcale...«

Słynny astronom francuski Arago, który badał zaćmienie słońca we Francji południowej 8. lipca 1842 roku, tak je opisuje w swej »Astronomji popularnej«:

»Chwila zaćmienia słońca zbliżyła się... Około dwudziestu tysięcy ludzi, z okopconymi szklami w rękach patrzyło na błyszczącą kulę słońca, unoszącą się na błękitnem tle nieba. Zaledwo zdołaliśmy zauważyć, za pomocą bardzo silnych teleskopów, małą szczerbę na zachodniej części tarczy słonecznej, gdy potężny krzyk dwudziestu tysięcy ludzi dowiódł nam, żeśmy zaledwo o kilka sekund wyprzedzili spostrzeżenia, dokonywane gołym okiem przez dwadzieścia tysięcy improwizowanych astronomów, odgrywających rolę badaczy. Ciekawość, współzawodnictwo, chęć niedania się uprzedzić innym — wszystko to jak gdyby siłę wzroku dodawało energii i bystrości. Pomiedzy tą chwilą i ostatnimi minutami zaćmienia nie zauważyliśmy w usposobieniu duchowem tylu widzów nie godnego uwagi. Ale gdy nadeszła chwila, w której słońce przyjęło postać wąskiego sierpa, słabo oświetlającego nasz horyzont — wszystkich ogarnął jakiś niepokój; każdy odczuwał potrzebę podzielenia się swymi wrażeniami z otaczającymi. Ztąd powstały wśród dwudziesto-tysięcznego tłumu odgłosy przytłumione, podobne do szumu oddalonego morza podczas burzy. Odgłosy te stawały się coraz wyraźniejszymi w miarę zmniejszania się świecącego jeszcze sierpa. Nakoniec sierp zniknął — zapadła ciemność — i cisza bezwzględna chwilę tę z taką samą dokładnością zaznaczyła, z jaką zaznaczyło ją wahadło naszego zegara. Przepyszny, okazały obraz zaćmienia przeżył żywość

młodości, przeżył lekkość, którą pewnego rodzaju ludzie uważają za oznakę wyższości umysłowej, — obojętność, która jest właściwą żolnierzom. Głęboka cisza panowała w powietrzu — ptaki się nie odzywały. Po uroczystem oczekiwaniu — około 2 minut — nagle rozległy się krzyki radości, szalone oklaski witały powrót pierwotnych promieni słońca. Po stanie przygnębienia, wywołanym przez uczucia, których opisać niedodobna, nastąpiła radość szczerą, otwartą: nikt nie myślał ukrywać jej, nikt nie powstrzymywał się od jej manifestowania. Dla większości zgromadzonych zjawisko się na tem skończyło. Nikt już, oprócz tych, którzy się specjalnie poświęcili astronomji, nie przyglądał się reszcie odmian zaćmienia«.

Nietylko wszakże tłum widzów zwyczajnych doznaje silnych wrażeń w czasie zaćmienia. Najdziwniejszym właśnie jest znany fakt, że nawet ludzie doskonale znający naturalne przyczyny zaćmienia, nawet astronomowie, którzy zbierają się umyślnie w celu zbadania tego zjawiska — często tracą właściwy im spokój umysłu, gdy już zaćmienie następuje i odczuwają jakiś strach nerwowy, z którego sobie sami sprawy zdać nie mogą. Nieraz się przecież zdarzało, że przygotowujący się w przeciągu kilku miesięcy do obserwacji zaćmienia słońca astronomowie, tracili głowę w najważniejszej chwili i nie byli w stanie zrobić ani jednego spostrzeżenia, lub też tak płątali obserwację, iż cała ich praca nie mogła już mieć żadnej wartości. Ludzie bardzo inteligentni, którzy mieli sposobność widzieć i opisywać zaćmienie słońca, mówią o bardzo silnym wpływie, jaki zjawisko to wywiera nawet na przygotowanym do niego widzu. Szczególniejszym przejawem strachu — mówią, tacy świadkowie — nadzwyczaj szybkie zbliżanie się cienia księżyca. I rzeczywiście cień ów przesuwają się po powierzchni ziemi z nadzwyczajną szybkością. Prędkość tego cienia jest o wiele większą od najszybszego biegu pociągu drogi żelaznej. Stojąc na znacznej wyniosłości na kilka sekund przed całkowitem zaćmieniem, można widzieć cień ten w powietrzu i na ziemi w postaci straszliwej czarnej chmury, szybko nasuwającej się i ogarniającej widza ze wszystkich stron. Światło korony słonecznej i po części odbite od niezaćmionej części powierzchni ziemi promienie samego słońca nadają przedmiotom dziwny odcień. Twarze ludzkie nabierają bezbarwno-białego wyrazu trupich głów. Sklepienie niebieskie zdaje się nagle zapadać na ziemię i obłoki na czerwono umalowane pozornie opuszczają się nagle, a w czasie całkowitego zaćmienia widz jest przekonany, iż

chmury znajdują się tuż nad horyzontem. Narazie w chwili zniknięcia ostatniego promienia światła słonecznego — po powierzchni ziemi, po ścianach domów, po wszystkich przedmiotach z nadzwyczajną szybkością przesuwają się cienie faliste i jasne smugi.

SŁOŃCE.

W chwili gdy ostatni skrawek jasnej tarczy słonecznej zostanie w czasie zaćmienia zakryty przez księżyc, na ciemnym tle nieba zabłysną gwiazdy. Natura znowu pokaże nam, iż prócz tego słońca, które na chwilę dla nas działać przestało, jest jeszcze w przestrzeni wszechświatowej tysiące innych gwiazd-słońc, podobnych do naszego, a może i bez porównania od niego wspanialszych. Ale ciemności, jakie w chwili zaćmienia nas ogarną, dowodnie okażą, iż dla nas, tu na ziemi, *nasze* słońce jest jedynym źródłem wszelkiego ruchu i życia.

Dwa rodzaje wpływów rozróżnić tu musimy. Pierwszy z nich jest tylko wyłącznie słońcu właściwym, posiada go każda ważka masa fizyczna. Jestto *przyciąganie*, które słońce wywiera na naszą ziemię, jak i na inne planety. Ale olbrzymia masa centralnej gwiazdy na tyle przewyższa wszystkie inne ciała naszego systematu, że słońce jest w myśl prawa Newtona właściwym panem ruchów wszystkich planet i komet; ono zmusza je a zarazem i naszą ziemię krążyć po olbrzymich orbitach w nieskończonej przestrzeni, — ono podnosi fale morskie w przypiływie i odpływie i ono na koniec podług teorii Falba, takimże sposobem porusza nawet płynne jądro ziemi. Za pomocą jakiego jednak fizycznego procesu ów wpływ tajemniczy przyciągania przechodzi od słońca ku nam przez przestrzenie między planetami, pozostało do tej pory zagadką, której nie rozwikłał nawet geniusz Newtona.

Ale! przyciągające działanie słońca miałyby miejsce nawet wtedy, gdyby to ciało niebieskie było ciemną masą — a więc *słońcem* we właściwym tego słowa znaczeniu być przestało. To co dla nas *słońce*, źródło życia stanowi, jest jego *promieniowanie*. Na powierzchni słońca odbywają się bezustannie procesy podobne do tego, gdy rzucimy kamień na spokojne zwierciadło stojącej wody. Po powierzchni wody z punktu uderzenia rozchodzą się fale: zupełnie podobnie w przestrzeni międzyplanetarnej, napełnionej hipotetycznym eterem rozchodzą się promieniście ze słońca fale, niosące

w przestrzeń światło, ciepło, i t. z. oddziaływanie chemiczne. Fale te eteru, spotykając po drodze jakieś ciało materialne, jak np. naszą ziemię, oddziałują na nią. Promienie świetlne rozpraszają ciemności. Promienie cieplne stają się źródłem prawie wszelkiego ruchu, wszelkiej energii fizycznej na powierzchni ziemi: pod ich wpływem, wskutek różnic w ogrzaniu atmosfery, powstają prądy powietrzne — wiatry, wskutek parowania wód — chmury i deszcze, jednym słowem całokształt zjawisk meteorologicznych, wraz z powstawaniem rzek i spadku wody na powierzchni ziemi. Nakoniec oddziaływanie chemiczne, roznoszone przez promienie słońca, to samo, które pozwala uchwycić na płycie fotograficznej podobieństwo fotografowanej osoby, daje możność wymiany pierwiastków w świecie organicznym: ono pozwala roślinom zabierać węgiel z powietrza, zawarły tam w postaci dwutlenku. Te zapasy węgla kamiennego, które dziś pozwalają nam wprowadzać w ruch nasze maszyny, to skryzalizowana od wielu tysięcy lat działalność chemiczna słońca na ziemi, działalność, która umożliwiła florze pochłoniąć z atmosfery ziemskiej znajdujący się tam pierwotnie w lotnych związkach węgiel.

Wracając jeszcze do fizycznej natury promieniowania, zaznaczyć tu należy, iż w ostatnim ćwierć wieku na kwestję tę potężny umysł James'a Clerk'a Maxwell'a rzucił nowe, nieznane dotychczas światło. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż promieniowanie znajduje się w ścisłym związku z całym szeregiem elektrycznych procesów — jestto osnowa elektromagnetycznej teorii światła Clerka Maxwell'a.]

Zatem bez słonecznych promieni nie byłoby na ziemi ani ruchu ani życia. Umysł badacza musi tu więc koniecznie postawić pytanie: czemuż jest tedy owe ognisko tych promieni, z kąd powstaje źródło tej energii, którą słońce tak obficie na wszystkie strony rozrzuca?

Na oba te pytania nauka do tej pory nie dała w zupełności zadowalniającej odpowiedzi. Co do budowy fizycznej słońca, z licznych hipotez najwięcej ma prawdopodobieństwa hipoteza Secciego, w szczegółach jednakże rozmaicie modyfikowana przez innych badaczy. Jądro słońca stanowi rozżarzoną masę płynącą lub prawdopodobnie gazową, nadzwyczajnie zgęszczoną i nadzwyczajnie wysokiej temperatury. Owe jądro jest otoczone kilkoma następującymi po sobie powłokami gazowymi, podobnie o bardzo wysokiej, ale w każdym razie *niższej* od jądra temperaturze. Pierwsze z nich jest to t. zw. właściwa światłosfera, złożona z rozżarzonych par różnych metali, jakoto: żelaza,

wapnia, niklu, chromu, kobaltu, sodu itd., a także wodoru. Po nad nią unosi się jeszcze druga powłoka, czyli t. zw. chromosfera, która w niższych swych częściach ma skład podobny do światłosfery, a w wyższych składa się prawie wyłącznie z czystego wodoru. Wszystkie powłoki słoneczne są przytem teatrem ciągłych wstrząśnień mechanicznych. Wybuchy gazów z wewnętrznego jądra wywołują powstawanie *plam* na widzialnej tarczy słonecznej: rozżarzone gazy albowiem, wydobywając się z pod straszego ciśnienia, jakie we wnętrzu słońca panować musi, rozszerzają się szybko i przez to, jakoteż przez promieniowanie ochładzają się poniżej temperatur zewnętrznych powłok, wskutek czego pochłaniają światło i optycznie przedstawiają nam zjawisko *plam*. Chromosfera jest również miejscem bezustannych zmian fizycznych. Wybuchy chromosfery dostrzegamy w formie wyskoków czyli protuberancji z ponad tarczy słonecznej, dochodzących czasem do wysokości tysięcy mil geograficznych. Przytem wyskoki te pochodzą przeważnie z wyższej wodorowej strefy chromosfery, jakkolwiek nieraz w wstrząśnieniach biorą udział i niższe powłoki.

Nareszcie po nad wszystkimi powyższymi powłokami, stanowiącemi właściwe słońce, unosi się jeszcze jedna — korona słoneczna, której badaniu przedewszystkiem będzie poświęcone tegoroczne zaćmienie. O ile dotychczasowe badania pokazały, świeci ona przedewszystkiem światłem odbitem (spolaryzowanem) słonecznem i prawdopodobnie składa się z drobnych meteorycznych ciałek lub meteorycznego pyłu, unoszącego się na znacznych odległościach od słońca. Lecz niezależnie od tego inne spostrzeżenia pozwalają przypuszczać, że korona świeci po części także i własnem światłem. Wszystkie te kwestje do tej pory należycie rozjaśnione nie są.

Pozostaje jeszcze pytanie ostatnie — czy zapasy energii słonecznej wyczerpią się z biegiem wieków, czy też są one z jakkolwiek wciąż nanowo zasilane, i jeżeli tak, to w jaki sposób. Meyer z Heilbronu i Helmholtz, każdy w inny sposób postarali się dać odpowiedzi na te pytania. Podług pierwszego źródłem energii słonecznej jest bezustanne spadanie na słońce roju meteorytów. Ciepło wytwarzające się przy uderzaniu tych mas o słońce wystarcza by wynagrodzić straty promieniowania. Podług Helmholtza zapas energii słonecznej podtrzymuje się stale w ten sposób, iż słońce ziębnąc z biegiem czasu kurczy się, a kurczenie to wyswobadza nanowo dostateczną ilość ciepłej energii, by temperaturę słońca utrzymać stale na jednej wysokości. Podług pierwszej hipotezy, objętość słońca, a zatem i jego pozorna średnica powinna wzrastać

z biegiem czasu, wskutek ciągłego narastania mas meteorycznych; podług drugiej przeciwnie średnica słońca wskutek jego kurczenia powinna się zmniejszać. Spostrzeżenia jednakże dotychczas nie potwierdziły żadnej z tych hipotez i pomiary słońca od XVII wieku, kiedy pierwszy raz je dokładnie dokonywać poczęto, do tej pory, nie wykazały zmiany pozornej średnicy naszej gwiazdy dziennej; perjod obserwacyjny był prawdopodobnie za krótki.

W każdym razie, zdaje się, przypuścić należy, iż kiedyś, może nawet w bardzo odległej przyszłości słońce zagaśnie. Jednocześnie z ostatnim jego promieniem zgaśnie i wszelkie życie na ziemi. Następnie opór, jaki eter przestrzeni międzyplanetarnej ruchom planet i ziemi przedstawiać musi, będzie je bezustannie zbliżał do słońca, z którem się nareszcie połączą. Tym sposobem kiedyś z całego systematu słonecznego zostanie tylko ciemna masa — grób wspólny. Czy gdzieindziej wśród tysiącznych gwiazd przestrzeni wykwitnie jeszcze nanowo lub już wykwiła życie podobne temu, jakie jest obecnie na ziemi, to już należy do kwestyj, na które nauka nie da nigdy odpowiedzi. „*Ignoramus, ignorabimus!*”

Merczyny.

Zaćmienie słońca

ze stanowiska astronomicznego.

Dnia 19. sierpnia mieszkańcy bardzo szerokiego pasa w Królestwie polskiem, Rosji europejskiej i azjatyckiej będą świadkami całkowitego zaćmienia słońca. Przyczynę zaćmienia w zarysach ogólnych można uważać za znaną. Wszyscy wiedzą, że zaćmienia słońca wtedy się zdarzają, gdy między ziemią a słońcem przechodzi nieodstępny towarzysz ziemi, jej wierny satelita — księżyc i zakrywa przed naszymi oczami słońce. W tych miejscowościach, gdzie tarcza księżyca zasłania całą tarczę słońca, wypada całkowite zaćmienie; w tych zaś, dla których księżyc pozornie przechodzi trochę powyżej lub poniżej aniżeli słońce — widać niezupełne, częściowe zaćmienie. To samo można wyrazić jeszcze w sposób następujący: księżyc, z jednej strony oświecony promieniami słońca, rzuca w czasie swego przejścia między słońcem i ziemią cień na ziemię. Cień księżyca składa się z dwóch różnych części: ze stożka zupełnego, rdzennego cienia, do którego nie przedostaje się ani jeden promień słońca i ze stożka półcienia, do którego wpadają promienie światła, pochodzące od większej lub mniejszej części tarczy słonecznej. Te miejscowości na powierzchni ziemi, po których przesuwają się

rdzenny cień księżyca, utworzą pas całkowitego zaćmienia słońca; te zaś miejscowości, po których powierzchni przesunie się półcień księżyca, utworzą pas cząstkowego zaćmienia słońca. Im jaka miejscowość znajduje się bliżej do pasa całkowitego zaćmienia, tem większa część tarczy słonecznej dla tej miejscowości będzie zakryta przez tarczę księżyca; im dalej — tem mniejszą będzie «wielkość zaćmienia»; nakoniec po za pewnymi linjami krańcowymi na powierzchni ziemi wcale nie będzie zaćmienia, ponieważ dla miejscowości, leżących po za temi linjami, księżyc pozornie przechodzi w całości poniżej lub powyżej słońca i dlatego wcale go nie zakrywa. W miarę tego jak księżyc porusza się w przestrzeni, razem z nim przesuwa się i jego cień i oto 19. sierpnia b. r. cień ten przesunie się po powierzchni ziemi, w niektórych miejscach sprawiając całkowite zaćmienie słońca (w tych miejscach, które się będą znajdować w, stożku rdzennego cienia), a w innych cząstkowe zaćmienie słońca — (w pierścieniu półcienia); im bliżej rdzennego cienia, tem zaćmienie będzie większe, tj. większą część słońca zakryje księżyc.

W następujących miastach gubernialnych będzie całkowite zaćmienie słońca: Łomża, Suwałki, Grodno, Kowno, Wilno, Witebsk, Twer, Moskwa (w północnej jej części; w południowej zaćmienie będzie cząstkowe), Jarosław, Kostroma, Wiatka, Perm, Tobolsk, Tomsk, Krasnojarsk i Irkuck. W innych będzie cząstkowe. To ostatnie zaś w mniejszym lub większym stopniu będzie widzialne w całym państwie rosyjskiem. W guberniach: warszawskiej, kaliskiej, kieleckiej, łomżyńskiej, piotrkowskiej, płockiej i radomskiej, zaćmienie się rozpocznie jeszcze przed wschodem słońca, t. j. słońce okaże się już w części zaciemnione. W Warszawie słońce wschodzi o g. 4 m. 48.

Postaramy się opisać poniżej cały przebieg zaćmienia, oraz wykazać jego przyczyny. Droga obiegu księżyca około ziemi znajduje się w płaszczyźnie, która niezupełnie przylega do płaszczyzny drogi ziemi około słońca: kąt nachylenia się wzajemnego obu płaszczyzn wynosi około 5 stopni (nachylenie to stałe i perjodycznie się zmienia w przeciągu półrocza wahając się o $\frac{1}{4}$ stopnia). Dla tego nie zawsze, gdy księżyc przechodzi po tej samej stronie ziemi, po której znajduje się słońce, następuje zaćmienie, owszem często przechodzi on trochę wyżej lub trochę niżej od słońca.

Odległość księżyca od ziemi nie jest wielkością stałą, ale perjodycznie stopniowo się zmienia wahając się w granicach od 360,000 do 400,000 kilometrów, tak, że i widzialna, t. j. pozorna śred-

nica księżyca czasem równa się przybliżenie — $29\frac{1}{2}$, a czasem przybliżenie $33'$ minutom łuku koła.

Również zmienia się odległość ziemi od słońca i pozorna średnica słońca. Odległość ziemi od słońca waha się w granicach od 146 milionów do 151 mil. kilometrów, a średnica pozorna słońca — od $31'32''$ do $32'36''$, czyli przybliżenie od $31\frac{1}{2}$ do $32\frac{1}{2}$ minut. Zależnie więc od tego, w jakim czasie zdarza się zaćmienie słońca — średnica pozorna księżyca może być większą lub mniejszą od takiejże średnicy słońca; w ostatnim wypadku ma miejsce t. z. zaćmienie obrączkowe, czyli innemi słowy, prawie całą tarczę słoneczną zakrywa księżyc, z wyjątkiem tylko cienkiego pierścienia — rąbka.

W ziemie słońce znajduje się bliżej od ziemi — w lecie dalej: w zimie więc średnica pozorna słońca jest większą, a zaćmienia zimowe bywają niezupełne, ale tylko obrączkowe, całkowite zaćmienia zdarzają się zwykle tylko w lecie. W roku bieżącym — 19 sierpnia, odległość ziemi od słońca równać się będzie 150 mil. kilom. odległość księżyca od ziemi — 370,000 kilom., średnica pozorna słońca — $31'41''$, średnica pozorna księżyca — $32'53''$; są to warunki nadzwyczaj sprzyjające zaćmieniu, tak że w niektórych miejscach zaćmienie trwać będzie dość długo — w okolicach np. Irkucka prawie 4 minuty.

Długość trwania zaćmienia zależy nie tylko od większej lub mniejszej odległości księżyca od ziemi ale i od prędkości jego obiegu około ziemi, jak również i od prędkości ruchu ziemi około słońca. Tak samo jak wahają się odległości księżyca od ziemi i ziemi od słońca, tak samo też wahają się i prędkości ruchów tych planet.

Ziemia porusza się dokoła słońca ze średnią prędkością $29\frac{1}{2}$ kilom. na sekundę; stosownie do pory roku prędkość ta waha się w granicach od 29 do 30 kilom. na sekundę.

Prędkość ruchu księżyca około ziemi znacznie mniejsza — 1,020 metrów na sekundę, a waha się w granicach od 990 do 1,050 metrów. 19 sierpnia prędkość ruchu ziemi około słońca będzie 29.7 kilom., prędkość zaś ruchu księżyca około ziemi 1048 metrów na sekundę.

Przy obliczaniu, kiedy ma się zdarzyć zaćmienie słońca i w jakich miejscach będzie widzialne, wszystkie powyższe zmiany, a oprócz nich i wiele innych drobnych okoliczności — trzeba brać pod ścisłą uwagę. Dla tego to tego rodzaju obrachowanie jest pracą niesłychanie znużającą i męczącą, którą jeszcze utrudnia konieczność obliczania momentów zaćmienia dla rozmaitych miejsc na powierzchni ziemi. Stożek cienia księżyca przesuwa się w przestrzeni wskutek ruchu księżyca; gdy cień ziemi do-

sięgnie, przesuwając się on wówczas po jej powierzchni wskutek skombinowanych ruchów księżyca około ziemi i ziemi około słońca. Nareszcie i ruch ziemi około własnej osi odgrywa rolę bardzo ważną w pozornym przemieszczaniu cienia księżyca.

Oto jest ogólny przebieg zćmienia 19 sierpnia: półcień księżyca po raz pierwszy dotknie się powierzchni ziemi o godz. 5 m. 7. 19 sierpnia (według południka petersburskiego) w Małej Azji, między miastami Konia i Kajzarie (szerokość punktu pierwszego zetknięcia się $37^{\circ}8'$, długość od Grynwiczu $33^{\circ}28'$). W tym punkcie według miejscowego czasu mają g. 5 m. 19: słońce dopiero co się ukazuje i poczynając się zaćmiewać. Półcień nadzwyczaj szybko posuwa się po powierzchni ziemi ku wschodowi, zajmując coraz większą jej płaszczyznę i wkrótce potem dotyka ziemi i cień rdzenny księżyca — o godz. 6 m. 11, według czasu petersburskiego, w bliskości miasta Apoldy w wielkim księstwie Sachsen-Wejmarskiem, w chwili wschodu słońca w tem miejscu — o g. 4 m. 55 według miejscowego czasu.

W Europie zachodniej a po części w Afryce północnej zaćmienie przypadnie jednocześnie ze wschodem słońca, które ukaże się na niebie w pewnej części zasłonięte przez księżyc; w Paryżu, w Londynie, w Berlinie, w Rzymie itd. dziwne to zjawisko będzie widzialne. Początku zaćmienia w miastach tych nie będzie widać; w państwie tylko rosyjskiem i w Szwecji zaćmienie rozpocznie się po wschodzie słońca. O godz. 5 m. 21 według czasu miejscowego, stożek rdzennego cienia księżyca przekroczy granicę Królestwa polskiego nieco poniżej Kalisza. Wskutek powyżej już opisanej kombinacji ruchów ziemi i księżyca, oraz obrotu ziemi — cień księżyca nadzwyczaj szybko posuwa się po powierzchni ziemi ku wschodowi z prędkością 1'6 kilom. na sekundę. Po upływie minuty cień ten ogarnia już Wilno, po drugiej minucie Witebsk, po trzeciej Twer i Moskwę. W przeciągu niespełna 10 minut, cień ten przebiega przestrzeń od granicy niemieckiej do Uralu. O godzinie 7 minut 7 cień księżyca znajdzie się już w okolicach Irkucka, gdzie podówczas będzie samo południe. W dalszym swym ruchu ku wschodowi cień księżyca przechodzi przez Japonję, wstępuje na ocean Spokojny i nakoniec opuszcza ziemię na Ansońskim archipelagu niezaludnionych wysp na oceanie Spokojnym. Będzie to według miejscowego czasu o godz. 6 min. 30 wieczorem. Słońce wówczas tam będzie zachodzić. W chwili gdy rdzenny cień opuścił ziemię, pewna część jej powierzchni będzie się znajdować w półcieniu księżyca, który również szybko przesuwając się

po powierzchni ziemi. Półcień z początku ogarnia całą Rosję europejską, następnie szybuje po Syberji i także wchodzi na ocean Spokojny i stopniowo ziemię opuszcza. O godz. 10 według czasu petersburskiego, zaćmienie kończy się ostatecznie — ostatni pas półcienia opuszcza powierzchnię ziemi w pobliżu wysp Karolińskich i przenosi się w przestrzeń międzyplanetarną.

Józef Kleiber.

Zaćmienie słońca

ze stanowiska fizycznego.

Zaćmienia całkowite słońca, będące dawniej przedmiotem obawy u ludów niewykształconych, zyskały od połowy bieżącego wieku znaczenie zjawisk pomocniczych do rozjaśniania zagadki przez tyle wieków nierozwiązanej — fizycznego stanu słońca. Patrząc na kulę słońca rozpaloną i błyszczącą, trudno było przypuścić, aby to nadzwyczajne gorąco nie wytwarzało tam jakichkolwiek par lub gazów, a jednak czyżby kontur kuli przez lunety dostrzegany nie zdradzał niczem ich obecności? Aby podpatrzyć pewne na powierzchni słońca odbywające się procesy, trzeba było wyjątkowych okoliczności, które pozwoliłyby swobodnie rozejrzeć najbliższą okolicę słońca, przy jednoczesnym zakryciu samej jego kuli olśniewającej wzrok ludzki. Taka sposobność zdarza się zawsze podczas całkowitych zaćmień, kiedy księżyc ziemski staje na linii prostej łączącej oko patrzącego ze środkiem słońca i zakrywa choć na czas krótki błyszczącą tarczę słoneczną, pozwalając swobodnie przypatrzeć się otoczeniu najbliższemu, zakrytemu zawsze dla oka w zwykłych warunkach.

Całkowite zaćmienia słońca należą bezwątpienia do najwspanialszych zjawisk naturalnych. Pamiętający zaćmienie w r. 1851, widzialne w Warszawie, przypominają sobie zapewne wielkie wrażenie, jakie zjawisko to pozostawia. Szybkie osłabienie światła dziennego ma w sobie coś przestraszającego, wytwarzając jednocześnie zmianę barw przedmiotów ziemskich. Zieloność drzew i pól zdaje się szarawą, niebo u góry przybiera barwę ołowianą, gdy przy widnokregu część promieni słonecznych dochodząca z boków, oświetla je żółtawo. Twarze ludzkie wyglądają blado i podobnie, jak przy oświetleniu płomienia palącego się spirytusu. Cisza zalega w całej organicznej naturze, ptaki i owady złudzone sztucznym zmrokiem chowają się do swych kryjówek. Temperatura powietrza zniża się, a w ostatnich chwilach przed całkowitem zakryciem słońca

dają się spostrzegać na ścianach domów drgające fale światła i cienia, przypominające fale poruszanej wiatrem powierzchni wód. Gdy zjawisko obserwujemy ze znacznego wzniesienia, można wtedy dostrzec na ziemi okrągły cień księżyca rzucony przez słońce, posuwający się wraz z prawdziwym biegiem księżyca z szybkością, przechodzącą biegiem najpospieszniejszych pociągów. Gdy cień ten dobiega do patrzącego, znika ostatni promień światła i zamiast błyszczącego słońca, spostrzegamy na jego miejscu czarną kulę księżyca. Widok wtedy całkowicie się zmienia, wokoło kuli księżyca widać całą atmosferę słońca w zwykłych warunkach niedostrzegalną, błyszczy ona srebrzystym światłem, otacza jakby aureola całe słońce, rozszerzając się na odległość przechodzącą słoneczną średnicę. W atmosferze tej, którą zowią koroną, widać jeszcze inne utwory, z za brzegów księżyca wychylają się różowe wysoki (protuberancje) podobne do chmur, obłoków lub gór, kiedy je na ziemi widzimy w oświetleniu słońca wschodzącego. Utwory te należą właściwie do atmosfery słońca.

Gdy czarna kula księżyca w dalszym swym biegu przesunie się dalej i odłoni przeciwny bieg słońca, cały widok znika i powoli zwykłe światło dzienne powraca.

Spostrzegane zjawiska ocenione zostały należycie dopiero prawie w połowie bieżącego stulecia choć wzmiankę o nich już u Wasseniusa w roku 1733 znajdujemy. Jedne z najpierwszych opisów wyskoków (protuberancji) podał Bailly, astronom angielski, który spostrzegł je w r. 1842. Następne zaćmienia w latach 1851, 1853, 1858 zbagaciły materiał obserwacyjny, w r. zaś 1860 zjechali się do Hiszpanji najzdolniejsi astronomowie, aby zastosować do dokładnego zbadania wyskoków i korony dwa jeszcze sposoby: fotografię, którą się zajęli Warren de la Rue i Secchi, oraz polaryzację, którą wówczas badał niedawno zmarły w Paryżu Prądmowski (były prof. szkoły głównej). Otrzymano tam bardzo dokładne rysunki, rozpoznanie jednak natury tych zjawisk zostało dopiero ułatwione wynalazkiem spektroskopu, przyrządu rozkładającego światło słońca za pomocą szklanych pryzm na szeregi barw tęczyowych, zwany widmem. W widmie słonecznem rozrzucone są setkami pewne prążki czarne. Owoż pomimo pozornego nieładu, pewne ugrupowania rzeczonych prążków odpowiadają pewnym pierwiastkom chemicznym, wydającym światło lub przepuszczającym przez siebie światło. Z ugrupowania tedy prążków możemy poznać naturę ciała światło wydającego lub naturę gazu, przez który inne światło przechodzi. Prace Kirchhofa, Bunsena, Angströma, Vogla i wielu innych

określiły stanowczo ugrupowanie tych prążków dla wielu pierwiastków i pozwoliły istnienie takowych na słońcu nawet rozpoznać, stwarzając nową gałąź wiedzy — rozbiór chemiczny widmowy (analizę spektralną). Przy zastosowaniu tej ostatniej metody można się było spodziewać, że pierwsza sposobność zaćmienia słońca pozwoli domysleć się natury chemicznej różowych wyskoków i korony — i w rzeczy samej w sierpniu r. 1868 podczas zaćmienia w Indjach astronomowie Janssen i Tennant w Guntvor, Rayet w Malace i Weisse w Adenie po raz pierwszy skierowawszy spektroskop na wysoki słoneczny, przekonali się, że one składają się głównie z gazu wodorowego rozpalonego, zmieszanego z innymi gazami metalów i dali podstawę do dalszych badań tych procesów wybuchowych, pochodzących z głębi kuli słonecznej *).

Dziś nauczono się i w zwykłym czasie bez zaćmienia spostrzegać wybuchy gazów słonecznych za pomocą spektroskopu; czynią się nawet usiłowania, aby otrzymać fotografię korony w czasie zwykłym, usiłowania te jednak utrudnia blask słońca, a z tego powodu zaćmienia nie straciły swego dla nauki znaczenia.

Zaćmienia w r. 1869, 1870, 1878 itd. rozjaśniły wiele zjawisk dostrzeganych. Określono naturę gazową wybuchów i ich zmienny skład chemiczny: przekonano się, że wraz z gazem wodorowym wiele innych par metalicznych wybuchają z wnętrza słońca, stygnąc powoli i sprawiając przez to wrażenie ciemnych plam, jakie na samej tarczy słońca codziennie przez lunetę widzieć można. Upewniono się, że korona słoneczna stanowi skrajną część atmosfery słońca, zawierającą w sobie obok wodoru jeszcze inne gazy, których natury do dziś jeszcze nie oznaczono.

Wszystko to wyjaśniło w znacznej części naturę fizyczną słońca, zostało jednak jeszcze dość punktów ciemnych, tyjących się samej korony, aby usprawiedliwić to zajęcie, z jakim koła naukowe oczekują na każde nowe zaćmienie w dogodnych warunkach przypadające. Do takich właśnie należy zaćmienie tegoroczne.

Położenie pasa zajętego przez zaćmienie na lądzie stałym, ułatwia rozmieszczenie stacyj obserwacyjnych, z drugiej zaś strony pora najprawdopodobniejszych pogód najmniej naraża

*) Pierwszą myśl zastosowania spektroskopu do badania protuberancji powziął Lockyer w r. 1866, uskutecznić ją jednak zdołał dopiero w październiku 1868 r. tak, że zasługa zastosowania nowej metody słusznie przypada Janssenowi. (Prz. red.).

urządzone ekspedycje na próżną stratę czasu, jak to już nieraz miało miejsce. W r. 1870 zaćmienie przypadało na brzegach morza Śródziemnego w grudniu. Zainteresowanie się niem było ogólne, a ekspedycje przez rządy Europy urządzone rozlokowały się od Hiszpanji aż do Afryki. Astronom Janssen, wyznaczony przez rząd francuski, zmuszony był balonem wydalić się z Paryża, z powodu ówczesnej wojny. Przygotowania te jednak spełżyły wówczas prawie na niczem z powodu ogólnej niepogody.

Rozliczne kwestje, dotyczące się stanu fizycznego słońca, łączą się ze spodziewanem zaćmieniem.

Dotychczasowe prace wykazały z pomocą analizy spektralnej obecność tak znacznej ilości pierwiastków ziemskich na słońcu, że wspólne pochodzenie ziemi i słońca nie może dziś ulegać zaprzeczeniu. Są jednak pierwiastki bardzo rozpowszechnione na ziemi, których śladów na słońcu nie spostrzeżono; do takich należy tlen, gaz ożywczy, którym oddychamy, stanowiący główną część składową atmosfery ziemskiej. Tymczasem w widmie zachodzącego słońca spostrzegać się dają pewne grupy prążków, które, według badań Thollona, Cornu, prof. Jegorowa i innych, powstają wtedy, gdy światło przechodzi przez grubą warstwę tlenu. Ma to właśnie miejsce, gdy światło zachodzącego słońca przechodzi wpoprzek atmosfery, a więc przez grubszą jej warstwę. Prof. Jegorow starał się powstawanie tych grup doświadczeniem stwierdzić i przepuszczając światło elektryczne z Mont-Vaerien do obserwatorium w Paryżu, o 10 kilometr. odległego, otrzymał w widmie te właśnie grupy prążków *). Określone tym sposobem znaczenie tych prążków daje możność dziś, przy nadchodzącem zaćmieniu rozszerzyć nasze wiadomości o przypuszczalnem istnieniu tlenu na słońcu; skoro bowiem księżyc zasłoni tarczę słońca, pozostawiając widoczną jego atmosferę, wtedy ewentualne zmiany w rzeczonych grupach prążków, dostrzeżone w atmosferze słonecznej (koronie), będą w stanie kwestję do pewnego stopnia wyjaśnić.

Na zmianach w tych grupach również do pewnego stopnia będzie można oprzeć domniemywania o istnieniu atmosfery na księżycu. To ciało niebieskie, najbliższe ziemi, dotychczas nie ukazuje śladów żadnej a przynajmniej podobnej do naszej atmosfery, a jednak może ją mieć, chociaż znacznie rzadszą. Skoro więc przy zaćmieniu księżyc i słońce staną na jednej linii z okiem, wtedy

atmosfera słońca zostanie pokryta przez przypuszczalną atmosferę księżycą, warstwa pochłaniająca światło stanie się grubszą i może ujawnić pewne zmiany w widmie, pozwalające na wysnucie wniosków o naturze tej warstwy.

Dla zbadania korony słonecznej, zaćmienie sierpniowe również ma znaczenie pierwszorzędne. Warstwa ta skrajna atmosfery słońca zdaje się być wytworem jego procesów wybuchowych, które w lat 11 i pół wzmagają się w swej sile i potem znowu słabną do minimum. Jeśli to przypuszczenie zostanie stwierdzone, atmosfera słońca okaże się zupełnie różną w swem znaczeniu od ziemskiej. Aby jednak to stwierdzić, należy przedewszystkiem zbadać rozciągłość korony w epokach różnego natężenia procesów wybuchowych, a największa ilość zaćmień badanych przypadała podczas największego natężenia (maximum) wybuchów słońca i jego plam, będących następstwem wybuchów. W epoce najmniejszości (minimum) jedno tylko zaćmienie 1878 r. było obserwowane w Ameryce, a tegoroczne będzie właśnie w tych samych warunkach. Ohjaśnić więc ono może, czy rzeczywiście rozciągłość korony jest mniejszą przy zmniejszonej działalności słońca i czy wskutek tego jest ona wytworem wybuchów, bo przytem i skład jej chemiczny nie byłby tak stałym, jak to ma miejsce w ustalonej atmosferze ziemi. W celu rozstrzygnięcia tych pytań, korona będzie badana jednocześnie ze spektroskopem, dla zrobienia wniosków o niepewnym jeszcze jej stanie chemicznym, i przyrządem polaryzacyjnym dla określenia własności jej światła, oraz będzie fotografowaną, aby postać jej i rozmiary można było porównać z epokami różnej co do natężenia działalności słońca.

Te są główne zadania, do których częściowego lub całkowitego rozwiązania przyczynić się może sierpniowe zaćmienie. Obok tego są punkty drugorzędne, których badanie wchodzi w zakres prac spodziewanych, a takimi są: natężenie światła korony czyli badanie jej fotometryczne, badanie zmian ziemskiej atmosfery od zmniejszenia ogrzewającej powierzchni słońca zależnych, oraz badanie czysto matematycznej natury, służące do sprawdzenia lub poprawienia danych o rozmiarach drogi księżycy. Do tego ostatniego celu będą służyły spostrzeżenia chwil pozornego zetknięcia się tarcz słońca i księżycy dla sprawdzenia dokładności obliczeń lub ich poprawienia.

Dr. Jędrzejewicz.

*) Jeszcze ciekawszymi były doświadczenia prof. Jegorowa między Oranienbaumem i Petersburgiem. (Przyp. red.).

Przepowiednie na rok 1887

in związku z zaćmieniem słońca.

Rok bieżący zapowiadał się dla ludzkości ponuro. Wróżono wojny wielkie, przewroty społeczne, gwałtowne burze i zgubne katastrofy. Pierwsze półrocze zawiodło proroków politycznych, natomiast względnie liczne cyklony i grady na wiosnę, tudzież katastrofy takie, jak trzęsienia ziemi w Bordighera i Wiernym, zapadanie się miasta Zug — pozornie dały świadectwo prawdy przepowiedniom przyrodniczym. To też w prasie, zwłaszcza niemieckiej, zaroilo się od zapowiedzi klęsk niedalekich, a niejedna przepowiednia rzekomo naukowa przefiltrowała do naszych i rosyjskich dzienników. Zbliżające się zaćmienie przedstawia wdzięczną sposobność dla twórców horoskopów przyrodniczych, to też nie omieszkali oni z niej skorzystać i podobno należy oczekiwać nowych wstrząśnień skorupy ziemskiej i nowych powikłań w atmosferze.

Wiara w związek bezpośredni między zjawiskami kosmicznymi i ściśle ziemskimi, przekonanie o wpływie ciał niebieskich na życie naszej planety, a zatem pośrednio i na życie ludzkie, są tak stare niemal jak cywilizacja. To też nie dziwnego, że dotychczas otrząść się z niej nie możemy, a każdy niezwykle fakt na niebie wywołuje nowe reminiscencje dawnej astrologii, proroctw Nostradamusa, przepowiedni Zadeki, Brüssa i innych. Nauka, jako utwór umysłu ludzkiego, również nie mogła się wyłamać z pod tej ogólnoludzkiej tendencji wiązania faktów niebieskich i ziemskich. Wiecznie więc powtarzały się, powtarzają i powtarzać się będą hipotezy naukowe, w ten lub inny sposób rzeczony związek wyświetlające. W ostatnich czasach najwięcej zainteresowania w kołach przyrodniczych wzbudziły dwie zwłaszcza hipotezy tego rodzaju, mianowicie: hipoteza o związku między liczbą plam słonecznych a objawami zorzy północnej i wogóle magnetyzmu ziemskiego, tudzież hipoteza Falba-Perreya.

Rudolf Falb, urodzony w 1836 roku, z powołania ksiądz (jakkolwiek następnie ożenił się), wypowiedział główne zasady swej teorii o związku między trzęsieniami ziemi a ruchami księżyca i słońca jeszcze w 1870, w 1875 tudzież w 1880 r. starał się ją uzupełnić w dziełach naukowych nie zaniedbując popularyzacji w pismach niemieckich, przede wszystkim w »Gegenwart«. Ostatnia okoliczność tłómaczy wziętość teorii Falba. W głównych zarysach teoria ta może być streszczoną w sposób następujący: Wnętrze ziemi, skutkiem nadzwyczaj

wysokiej temperatury znajduje się w stanie płynnym, albo przynajmniej plastycznym. Masa wewnętrzna podobnie jak woda w morzach i oceanach, pod wpływem przyciągania słońca i księżyca podlega ruchowi falistemu, wznosząc się ku górze jak przypływ morski. Wznosząca się ku górze masa wypełnia szczeliny i podziemne jaskinie, a napotkawszy w nich obficie nagromadzoną wodę, natychmiast takową w parę zamienia. Prężność pary wodnej jest najbliższą przyczyną wybuchów wulkanicznych, które zdarzają się w miejscach, gdzie budowa skorupy ziemskiej jest słabszą i pozwala lawie na powierzchnię wypływać; ta sama prężność pary w innych punktach powoduje niejako wybuchy wewnętrzne, rezultatem których są dostrzegane na powierzchni wstrząśnienia. Wedle teorii Falba zatem trzęsienia ziemi będą zdarzać się w danej miejscowości przedewszystkiem w czasie przejścia księżyca przez dany południk w punkcie przyziemnym *), a zatem prawdopodobnie i w czasie zaćmień tak księżycowych jak i słonecznych, jeżeli naturalnie budowa skorupy ziemskiej w tem miejscu trzęsienie umożliwia. Ponieważ nadto słońce, jakkolwiek w znacznie mniejszym stopniu, wszakże pewien wpływ na przypływy tak wody jak i wewnętrznej lawy okazuje, przeto trzęsienia ziemi są najprawdopodobniejsze wtedy, gdy siły atrakcyjne słońca i księżyca działają w jednym kierunku w danym punkcie powierzchni ziemi, t. j. mianowicie w czasie zaćmień słonecznych. Oto dla czego tyle było zapowiedzi trzęsienia ziemi na sierpień r. b.

Falb na zasadzie swej teorii przepowiedział trzęsienie ziemi w Zagrzebiu w r. 1880 i wybuch Etny w 1875, a również obliczył, iż w dniu ukrzyżowania Chrystusa przypadało w Jerozolimie zaćmienie księżyca; zgodnie zaś z tradycją ewangeliczną miało miejsce wówczas »zaćmienie światła« i silne wstrząśnienie ziemi, co wymownie na korzyść teorii Falba przemawia. Na rok bieżący również Falb, o ile mogłem się poinformować, dwa wstrząśnienia na sierpień zapowiadał.

Ścisłej i bardziej naukowo formułował powyższą teorię słynny *seismolog* **) francuski Perrey i uczeń jego Montessus w trzech prawach, wyprowadzonych na zasadzie statystyki trzęsień. Przypuszczali oni nadto na zasadzie spostrzeżeń, że wewnętrzna masa płynna posiada pewien ruch wirowy niezależnie od ruchu ziemi około osi. Owe wiry

*) Księżyc w obiegu swym około ziemi znajduje się od niej raz bliżej, raz dalej, najbliższy punkt nazywa się przyziemnym (*perigeum*).

**) *Seismos* — słowo greckie == wstrząśnienie.

wewnętrzne w połączeniu z przyptywami, spowodowanymi przez przyciąganie księżyca, uwarunkowują falisty ruch płynnego jądra, który na powierzchni objawia się w periodycznych wstrząśnieniach.

Oto w krótkości naukowa podstawa teorii związku między zaćmieniami a trzęsieniami ziemi. W obecnym stanie nauki geologicznej teoria powyżej przytoczona ma nader niewiele zwolenników. Przeciwnie, trzęsienia ziemi obecnie tłómaczą się jako następstwa procesów naturalnych w samej skorupie, niezależnych w zupełności od ruchu ciał niebieskich. Ramy artykułu nie pozwalają mi wdawać się nawet w popularny wykład współczesnej seismologii, wspomnę więc tylko o najcięższych zarzutach przeciwko teorii Falba-Perreya przytaczanych. Przedewszystkiem teoria o płynnym stanie wnętrza ziemi jest jeszcze problematyczną; takie powagi jak Hopkins, Mallet, sir William Thomson, wprost ją odrzucają, w każdym zaś razie, co i sam Falb przyznał zresztą, grubość skorupy ziemskiej nie może być mniejszą od $\frac{1}{4}$ promienia kuli, tj. około 1600 kilometrów. Tymczasem głębokość punktu wyjścia zbadanych trzęsień ziemi, obliczona wedle metod Malleta i Seebacha, waha się w granicach 38 kilometrów (trzęsienie nadreńskie w 1846) do $8\frac{1}{2}$ kilometrów (trzęsienie w r. 1878.), trzęsienie zaś ziemi na Ischlji rozpoczęło się na głębokości tylko 1-4 kilometra. Przypuszczając nawet, że temperatura ku wnętrzu ziemi wzrasta proporcjonalnie, to i w takim razie źródło a zarazem przyczyna najgłębszych wstrząśnień ziemi znajdowały się w punkcie o temperaturze nie wyższej od 500 stopni Celsjusza, nadto w granicach pokładów napływowych, grubość których nie mniejszą jest od 54 kilom. A zatem trzęsienia ziemi rozpoczynają się w punktach, gdzie skorupa jest zupełnie stałą, a nader nieprawdopodobnem jest przypuszczenie, aby punkty te łączyły się z płynnem jądrem ziemi szczelinami długimi na tysiąc kilkaset kilom., przez które zresztą w żadnym razie siła przeciągania nie mogłaby masy wewnętrzne na takiej długości przesunąć. Statystyka również nie potwierdza teorii Falba-Perreya; tak wedle nader sumiennych obliczeń Lazeau, na 100 wypadków trzęsienia ziemi w Szwajcarii potwierdzało teorię zaledwie 16; 33 wprost sprzeciwiało się zasadom niemieckiego księdza, a 51 wypadało neutralnie. Otóż teoria posiadająca tylko 16% prawdopodobieństwa, za zdobycz naukową uważaną być nie może.

Zważywszy wszakże, że z każdej sposobności dla sprawdzenia tej lub innej teorii korzystać należy, projektowano na posiedzeniach komisji słonecznej ustawienie przyrządów dla obserwowania

trzęsień ziemi (seismometrów) po wszystkich stacjach zaćmieniowych, Z powodu trudności praktycznych propozycja ta uwzględnioną nie została, ponieważ jedyny fabrykant dokładnych seismometrów, Fischer w Zurychu nie mógłby tylu skomplikowanych przyrządów narazie wybudować, a proste seismometry systemu Lazeau lub Langa w danym razie się nie kwalifikują.

Gdyby nawet przecieź teoria Falba sprawdziła się w r. b., to w każdym razie ani w Wilnie, ani w całym pasie zaćmieniowym obawiać się trzęsienia ziemi nie potrzebujemy. Budowa geologiczna albowiem rzeczzonego pasu jest taką, iż uniemożliwia gwałtowne objawy podziemnych uderzeń. Cała Litwa i większa część Królestwa jest takąż »wyspą bezpieczną«, jakich kilka znajduje się w dolnej okolicy Renu, licznie przez trzęsienia ziemi nawiedzanej. W każdym więc razie bez cienia obawy będziemy mogli zaćmienie obserwować i przepowiednie katastrofy bynajmniej się nie sprawdzą.

Wszakże, pomimo tylu zawodów, przepowiednie katastrof ziemskich w związku ze zjawiskami na niebie, wiecznie, jak nadmienilem, powtarzać się będą. Są one przecieź psychiczną koniecznością umysłu ludzkiego, ginącego w pomroce niezbadanych faktów przyrody, których tylko drobną część nauka wyświetlić zdołała. Z tego stanowiska uważane prorocтва są nie tylko wynikiem zabobonnego strachu przed wielką niewiadomą, ale objawem niejako wiecznej dążności w poszukiwaniu światła prawdy w otaczającej przyrodzie. Są one również poniekąd objawem poszukiwania prawdy społecznej. Kiedy ludzkość cierpi, kiedy gniotące jarzmo życia daje się dotkliwie uczuwać we wszystkich sferach społeczności, wówczas mnożą się przepowiednie o blizkich klęskach. Pod ciężarem okoliczności wrogich, człowiek inteligentny staje się pesymistą, człowiek prosty chętnie daje ucho wieściom złowróżbnym i w każdym zjawisku niebieskiem widzi zapowiedź »gniewu bożego«. Oto poniekąd klucz do wyjaśnienia wskrzeszenia tradycji astrologów na schyłku postępowego stulecia.

Wł. Żukowski.

Wynik obserwacyj

zaćmienia słońca z dnia 19. sierpnia b. r.

Wynik obserwacyj zaćmienia słońca wypadł bardzo nieznaczny w porównaniu z przygotowaniami czynionymi w tym celu, gdyż deszcz przeszkodził wszędzie obserwowaniu tego wspaniałego zjawiska; zawód taki spotkał wszystkie miejscowości położone w pasie, gdzie całkowite zaćmienie miało

być widziane od Moskwy i Wilna aż do Berlina. Zainteresowanie się zaćmieniem było wszędzie ogromne; mnóstwo ludzi wyjechało do Mławy, Płocka, Włocławka, Ciechanowa, Lipna, Łomży, Suwałk i t. d. Dzienniki warszawskie powysyłały wszędzie korespondentów, na nie wiele to się jednak zdało, bo prawie nigdzie nie można było robić obserwacji. Telegramy brzmią stereotypowo: »po-
chmurno, nie nie widać« i donoszą tylko o ciemności, która chwilowo nastąpiła, o zaniepokojeniu zwierząt i t. d.

Z Mławy i Wilna dokładniejsze istnieją tele-
gramy. Deszcz ulewny i gęste chmury zakrywające niebo przez noc całą nie wiele obiecywały zgromadzonemu w Mławie licznie obserwatorom, między którymi prócz ciekawych mieszkańców miasta było wielu przyrodników, literatów i dziennikarzy.

Wschód słońca przeszedł niedostrzegalnie w stopniowaniu światła. Do godziny 5. w barwie chmur nie można było dostrzec żadnej zmiany. Ku zenitowi tylko zaczęły się z lekka zabarwiać miedzianym odcieniem jak przy zachodzie słońca. O godz. 5. minut 34 zaczęło się nagle ściemniać, chmury nabrały barwy stalowej, przerwy i załamy jaśniały złotym kolorem. Ciemność odtąd postępowała szybko i o godz. 5 m. 35 nastąpiła chwila zupełnej ciemności, trwająca minutę z sekundami. Następnie rozwidniło się prawie bez wyraźnego stopniowania. Od chwili ściemniania niepodobna było oprzeć się jakiemuś przygniatającemu wzruszeniu, jak gdyby groziła jakaś katastrofa. Kilka osób, stojących na wieży, mimowolnie ujęły silnie za balustradę. Dopiero w momencie następnym można było odetchnąć swobodniej. Podczas maximum zaćmienia, chmury i kolor nieba zbliżone były do nieba nocnego, ale już w kilka sekund na wschodzie po nad horyzontem ukazała się smuga czerwona. Ogólnie skarżono się na zawód, jaki sprawiła pogoda, ale i przyznawano ogólnie, że nawet w takich warunkach zjawisko zaćmienia słońca robi imponujące i na długo pamiętne wrażenie.

Z Wilna donoszą, że całkowite zaćmienie było zupełnie niewidzialnem; natomiast cząstkowe można było obserwować swobodniej, jakkolwiek i tu dużo przeszkadzały chmury. Dołano zdjęć dwa fotograficzne widoki sierpów. Polarymetrja i spektroskopja nie udały się zupełnie. Fotometrja w części została dokonana z powodzeniem. Astronomowi Froebe, przybyłemu z Wiednia, udało się dokonać obserwacji nad pierwszym zewnętrznym zetknięciem się tarczy księżyca z tarczą słońca.

Z Poznania donoszą, że z powodu nieba silnie zachmurzonego tylko jedna część zaćmienia nastąpiła w oznaczonym czasie. Krótko po kwadransie

na 6. począł zmrok zapadać i to z szaloną szybkością tak, że niebawem zapanowała zupełna ciemność; na 20 kroków nie można było niczego rozpoznać, wiatr począł się silniej poruszać, a termometr spadł o 1.2° C. Na północy z miejsc, gdzie całkowite zaćmienie nie było widzialne, odbijały się od chmur czerwone promienie światła, jakoby przy zachodzie słońca. Po półtorej minucie rozjaśniło się znowu, a nawet po godzinie 7, jakby na urągawisko pokazało się na chwilę słońce.

Obserwacje zaćmienia słońca powiodły się zupełnie w Nowoczerkasku, Ekaterynburgu i Tomsku.

J A D,

POWIEŚĆ

ALEKSANDRA KIELLANDA

przełożył

A d i n.

(Dokończenie).

To było rzeczą niesłychaną i cała gmina osłupiała ze zdziwienia. Jednakowoż patrzano już łagodniejszym okiem na Abrahama. Dobre wrażenie zrobiło na wszystkich, że proboszcz wyraził nadzieję uratowania tego syna straconej matki. Sam zaś Abraham nie wiedział co o sobie myśleć. Jakżeż można było chwalić jego przed wszystkimi. To przecież było niemożliwem.

Proboszcz Sparre otarł czoło i postąpił naprzód. Długo to trwało, zanim wypytał oba szeregi. Abraham miasto rozdrażnienia poprzedniego uczuł z kolei znużenie; czuł się nieco pewniejszym; owych ócz badawczych już nie widział, natomiast miał do koła same uprzejme i życzliwe twarze. »Oddaj tedy Bogu serce twoje i rękę twoją« — odezwał się proboszcz z łagodną powagą, a Abraham podał mu rękę; ręka proboszcza była miękka i gładką, uściśnął go nią poufale.

Wreszcie skończył się obrząd; trwał od godziny dziewiątej aż do trzeciej prawie.

Kucharka u profesora była w desperacji i przysięgała na czem świat stoi, że to już ostatni raz gotuje obiad konfirmacyjny. Już trzy razy tego dnia zaczynała podawać jedzenie na podstawie mylnych wieści podawanych przez rozstawione czaty.

Było już po wpół do czwartej, gdy goście zasiedli do stołu. Abraham zajął pierwsze miejsce, ojciec obok niego po prawej a proboszcz po lewej ręce; zresztą byli sami starsi panowie z wyjątkiem

Brocha, jako najlepszego przyjaciela Abrahama. Między zaproszonymi był także rektor i większa część nauczycieli Abrahama, amtmann, burmistrz, inni urzędnicy i lekarze miasta — ogółem ze dwudziestu przyjaciół i kolegów profesora.

Zrazu Abraham czuł się nieswoim jako główna osoba w tak poważnym gronie; zwolna jednak pod wpływem spożytego wina poprawiało się jego usposobienie. Było to pierwsze większe zebranie towarzyskie u profesora od śmierci żony jego i wszyscy się cieszyli, że gościnny dom profesorski nanowo został otwartym. Sam profesor lubiał towarzystwo i wnet też wpadł w dobry humor. Do wesołego usposobienia towarzystwa nie mało się przyczyniła okoliczność, że grono uczestników było wyśmienicie dobranem; nie było obawy fałszywego tonu: można było swobodnie rozmawiać nawet o polityce. Jakoż gdy proboszcz wygłosił jedną mowę na intencję dnia dzisiejszego, a rektor drugą, zaczęto wznosić toasty na króla, królowę, na małżonkę następcy tronu, rodzinę królewską i cały dom królewski. unię i na pobratymczą Szwecję i wszyscy spijali te zdrowia za zapalem.

Wesołość wzrastała widocznie, wszyscy trącali się kieliszkami z Abrahamem, ten zaś co chwila mrugał znacząco do Brocha, wskazując na wesoły humor starszyny. »Padalec« i »jeziwiec« siedzieli przy butelce starej madeiry, uśmiechając się ciągle i mlaskając językami, po obiedzie zaś przy likworze starszy nauczyciel Abel przysiadł się w kąciaku do »młodego przyjaciela« Abrahama i mówił o jego niezrównanej matce, aż się z rozczerwienia rozplakał.

Towarzystwo rozeszło się dość wcześnie; nie chciano bowiem zasiąść do kart ze względu na uroczystość dnia.

Gdy ojciec z synem zostali sam na sam, rzekł profesor Löwdahl:

— A więc dobranoc, kochany mój Abrahamie, będziesz znużony. Wstąpiłeś teraz w pełnię życia jako dorosły mężczyzna i mogę sumiennie powiedzieć, że jestem z ciebie zadowolony; jak ci się potem w świecie powodzić będzie, to wprawdzie — jak słusznie nadmienił proboszcz — jest w ręku Boga; ale nie mało też zależy ono od ciebie samego. Natura pod każdym względem dobrze cię wyposażyła; urodziłeś się na korzystnym miejscu w społeczeństwie, z czasem dostaniesz majątek dość znaczny jak na nasze stosunki, a ja — twój ojciec — cieszę się wpływem, który ci się przyda, jakkolwiek obierzesz drogę. Należysz zatem do tych, którzy w naszym społeczeństwie doprowadzić mogą i muszą wysoko — bardzo wysoko. Jest jednak rzecz jedna, której teraz — po raz ostatni, spo-

dziewam się — dotknąć muszę koniecznie, rzecz, która, przyznam się, trapi mnie cokolwiek. Jest to fatalna skłonność, która się u ciebie objawiła przed kilkoma laty — wiesz już przy jakiej sposobności. Ta sprawa, dzięki Bogu, lepiej się skończyła, aniżeli się spodziewać było można! Uznałeś sam, żeś zblądził i starałeś się poprawić, ile uważałem. Muszę jednak w tym dniu uroczystym ostrzec cię przed tem, co może być jeszcze ukrytem zostało we krwi twojej. W każdym, najlepiej nawet uporządkowanym społeczeństwie ludzkim istnieje żywioł niezadowolony, szumowiny społeczne w małej garstce złożonej po części z marzycieli, po części zaś ze zbrodniarzy, z ludzi, którzy nie mają sumienia, ani Boga, ani miłości ojczyzny. Gdziekolwiek będziesz na świecie, spotkasz się z tymi ludźmi. Mają oni zwyczaj — ostrzegam cię przed nimi właśnie dla tego — mają, mówię zwyczaj udawać obrońców uciskionych i rzucają dźwięcznymi frazesami o małych i wielkich itd. Tych ludzi ty zwłaszcza, Abrahamie, winienesz się wystrzegać. To jest żywioł rozkładu w społeczeństwie, który lud bałamuci i zawsze dąży do tego, aby podkopać istniejący porządek. Ja zaś, twój ojciec, daję ci słowo, że we wszystkim, co ci ludzie mówią i czynią, nie ma nic prócz rozmyślnego kłamstwa i złości, pychy i żądzy panowania, a jeśli usłuchasz ich głosu, sam popadniesz w nieszczęście, pójdiesz na zgubę pewną. A teraz wybieraj między twoim ojcem a twoją... a innymi.

Profesor popadł w taki ferwor, że się przemówił; syn jednak podał mu obie ręce mówiąc: »Ciebie wybieram ojciec!«

Powiedział to z powagą i przekonaniem. Niepokój jakiego doznawał z rana, ustąpił był zupełnie. Publiczna pochwała w kościele, towarzystwo starszych mężczyzn, którzy go traktowali jak rówieśnika, a w końcu jeszcze słowa ojcowskie uspokoiły go zupełnie; widział już siebie między najlepszymi i najpierwszymi, a życie swoje pełne blasku i chwały.

Skoro Abraham wyszedł, Karsten Löwdahl rozglądał się w izbie z uczuciem zadowolenia. Z ócz Abrahama wyczytał miłość i podziwienie dla siebie, za którymi gonił już tak długo i cieszył się z tego. Nareszcie dopiął swego celu: Syn miał mu dać to, czego mu żona odmawiała; to usmierzało gorycz, jaką czuł na jej wspomnienie.

Abraham poskoczył na piętro; łańcuszek dzwonił przyjemnie, ilekroć się poruszył. Cieszył się na widok swego pokoju i tem także, że będzie zegarek nakręcał.

Skoro zapalił świecę, ujrzał na swoim stole duży bukiet z najrzadszych i najpiękniejszych kwiatów. Abraham radośnie porwał bilet leżący między kwiatami, lecz zaledwie rzucił nań okiem, opuścił go na ziemię, jakby go palił. Twarz jego oblała się szkarłatem i odwrócił się zawstydzony.

Na owym bilecie były dwa słowa napisane drobnem niewprawnem pismem pani Gottwald: „Od Mariusa!“

Kronika powszechna.

— Prof. J. Niedźwiecki wybrany został rektorem politechniki lwowskiej.

— W Stanisławowie, z powodu zjazdu nauczycieli, wydano „Jednodniówkę pedagogiczną“, w której p. Mekler pomieścił ciekawy dokument z 1821 r., zatytułowany „Das Buch der Schande“. Zapisywano do niej złych uczniów, a pomiędzy innymi znajdują się nazwiska kilku za „bezustanne rozmawianie po polsku i tym podobne łotrowstwa“. „Wszystko już było“ — powiedziałby Akiba.

— Dr. Wł. Demetrykiewicz wydał we Lwowie studjum „Konserwatorstwo dla zabytków archeologicznych“.

— W Galicji zreformowane będą gimnazja w ten sposób, iż zniesione zostanie rozróżnienie na wyższe i niższe gimnazjum, nauki przyrodnicze przeniesione będą z klas niższych do wyższych, w niższych klasach powiększoną zostanie ilość godzin, poświęconych językom klasycznym.

— W uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie odbyły się wybory senatu akademickiego na rok 1887—88. Skład senatu będzie następujący: Rektor ks. Stanisław Spis, prorektor Stanisław hr. Tarnowski, dziekan wydziału teologicznego ks. Władysław Chołkowski, dziekan wydziału prawa i administracji Franciszek Kasperek, dziekan wydziału lekarskiego Napoleon Cybulski, dziekan wydziału filozoficznego Lucjan Malinowski.

— Akademia nauk w Krakowie ogłasza na listopad każdego roku konkurs na najlepsze opisanie zewnętrznej postaci którejś części kraju; nagrodę 150 rs. udzieli komisja fizjograficzna w końcu roku. Rękopisy zasługujące będą ogłoszone w Pamiątknikach komisji.

— W Popradzie tow. Tatrzańskie otworzyło „Muzeum karpackie“, w którym koncentrują się zbiory mineralogiczne, geologiczne, botaniczne, etnograficzne, karty, książki itd., dotyczące gór karpackich.

— Wydział prawny uniwersytetu warszawskiego wyznaczył dla studentów na nagrody w medalach następujące temata: z encyklopedji „Nauka o źródłach prawa“, z historii prawa rosyjskiego „Znaczenie akt prawnych epoki moskiewskiej jako środków zaznajomienia się z historją prawa rosyjskiego“, z prawa państwowego „Porównawczo-krytyczny przegląd ważniejszych rozpraw rosyjskich w kwestji polityki naukowej“.

— Alfons Grodek, rodak nasz z Ameryki, wynalazł torpille do uśmierczania pożarów i w Warszawie myśli przedstawić próby.

— Akademia sztuk pięknych w Petersburgu, zamiast nadawania tytułów profesorskich, będzie mianowała swych członków na akademików artystów klasy 1-ej, 2-ej i 3-ej. Stopnie te będą odpowiadały doktorowi, magistrowi, kandydatowi i rzeczywistemu studentowi danych nauk w uniwersytecie.

— Założenie w Petersburgu praktycznego instytutu technologicznego stanowczo zdecydowanem zostało.

— Zjazd lekarzów z całego państwa rosyjskiego odbędzie się w Moskwie w jesieni r. b. celem omówienia ważnych kwestyj z dziedziny higieny miast.

— W d. 27. lipca odkryty został w Piatigorsku pomnik dla poety Lermontowa.

— We wsi Łochyńska, w pow. Piotrkowskim, znaleziono śród pola pięć grobów przedhistorycznych.

— W wiedeńskiej akademji umiejętności, mianowicie w oddziale matematyczno-przyrodniczym przedłożono ostatnimi czasy prace dwóch polaków, mianowicie: Stanisława Bondzynskiego, nadesłane z Szwajcarii p. t. „Ueber Sulphudrilzimmt-Säure und einige ihrer Derivate“ i Emila Kraśnickiego „Löslichkeitsbestimmung der Kalk- und Barytsalze der Ameisensäure, Essigsäure und Propionsäure“, które przyjęte zostały do ogłoszenia.

— Od 28. września do 1. października odbywać się będzie kongres filologów niemieckich w Zurychu.

* * *

Zmarli.

— Dr. Zygmunt Węclewski, profesor uniwersytetu lwowskiego.

— Dr. Mieczysław Bochenek, ekonomista, docent uniwersytetu jagiellońskiego. Ur. w Krakowie 1846 r. Ważniejsze prace jego: „Stanowisko państwa wobec kolei żelaznych z uwzględnieniem stosunków państwowych, zachodzących w Austrii“, „Kredyt jako wynik ekonomicznego rozwoju społeczeństwa“. Wykłady jego ekonomji politycznej wyszły w osobnej odbitce.

— Pod Moskwą w dobrach swoich zmarł M. N. Katkow. Nieboszczyk urodził się w Moskwie w r. 1818. Po ukończeniu uniwersytetu moskiewskiego ze stopniem kandydata nauk historyczno-filologicznych, następnie po uzyskaniu stopnia magistra, Katkow udał się zagranicę, przyczem większą część czasu spędził w Berlinie, słuchając wykładów Schellinga. Powróciwszy w r. 1843 do Petersburga i po obronie tu dysertacji swej „O elementach i formach języka słowiano-rosyjskiego“, Katkow mianowany został adjunktem na katedrze filozoficznej, ale stanowisko to zajmował tylko do r. 1849, poczem oddał się pracom naukowym, jak np. „Zarys starożytnego okresu filozofji greckiej“ i t. p. Ze wstąpieniem na tron cesarza Aleksandra II., Katkow założył miesięcznik „Russkij Wiestnik“, od roku zaś 1861 rozpoczął wydawnictwo „Mosk. Wied.“ i poświęcił mu się już wyłącznie niemal, broniąc ciągle w swym dzienniku idei samowładztwa i jedności państwowej. Ze szczególną energją występował Katkow podczas wypadków r. 1863, podczas reformy szkolnej, przeprowadzonej według jego myśli w duchu klasycyzmu i nareszcie w ostatnich czasach przeciwko przyjaźni Rosji z Niemcami.

— Jan Taylor, głowa mormonitów w stanie Utah. Z nim zszedł z widowni świata najgorliwszy obrońca „kościół świętych“ w walce z rządem Stanów Zjednoczonych.

— Christian Detmald, znakomity inżynier, twórca kolei Charleston i Hamburg w południowej Karolinie, różnych kanałów w Marylandzie i Pensylwanji, kryształowego pałacu w New-Yorku, ur. 1809, zm. w początku lipca w N. Yorku.



Kobiety w przysłowiach ludu francuskiego, włoskiego i rosyjskiego.

Dodatek do porównawczej psychologii narodów
(Wedle Leonarda Freunda).

We wszystkich krajach i u wszystkich narodów kobiecość i kobiety stanowią ulubiony temat dla dowcipu ludowego, który zawsze w bardziej ostrej niżeli ugrzecznionej występuje formie. Wszystkie wady i przymioty kobiety, właściwości, cechujące ją jako kochankę, żonę, gospodynię i matkę, jej stosunek do rodu męskiego, miłość, małżeństwo i śmierć, wszystko to bierze pod uwagę i objaśnia mądrość ludowa, a skryształizowana essencja tej mądrości, to przysłowia. Kobiety po wszystkie czasy i we wszystkich strefach chytrą, przebiegłą i potęgą swych zalet zewnętrznych odnoszą zwycięstwo nad rodem męskim i tem samem do złości i gniewu go pobudzają, nie dziw więc, że przysłowia — będąc wyłącznie prawie dziełem mężczyzn — przeważnie w drastycznej formie świadczą na niekorzyść rodu kobiecego. Z porównawczego zestawienia gnomologii francuskiej, włoskiej i rosyjskiej okazuje się, że odpowiednio do charakteru narodowego Francuzi stosunkowo najłagodniej, Włosi najnamiętniej a Rosjanie z największą nieufnością wyrażają się o pięknej połowie rodu ludzkiego. Niegrzeczność i drastyczność przysłowi rosyjskich tem bardziej zadziwiać musi, ile że właśnie język rosyjski posiada najobfitszy zapas wyrazów miłosnych i pieszczotliwych, którymi najsubtelniej definiuje wszystkie stopnie i odcienia uczucia miłości i wszystkie stadja miłosnej gorączki.

Ta jednakże właściwość przysłowi rosyjskich, da się może wytłómaczyć wpływem dziwacznych i ubolewania godnych stosunków, w jakich kobiety w Rosji przez długi czas pozostawały. Dla przykładu niechaj posłuży jeden fakt: Pod wpływem doktryny bizantyjsko-biblijnej straciły kobiety w Rosji cześć i szacunek, któremi cieszyły się w dawnych czasach. Gorliwość i życzliwość nie-

których światłych reprezentantów kościoła nie zdołała ich ochronić przed brutalnością mężczyzn. I tak np. z ubolewaniem wspomina patriarcha Filaret w VII wieku, że urzędnicy zadłużeni, wyjeżdżając na jakiś czas w interesach służbowych, zastawiali jako fant swoje małżonki, których miłość również na czas jakiś odstępowali wierzycielom na rachunek zaległych procentów. Jeżeli dłużnik w oznaczonym terminie żony swej nie wykupił, w takim razie posłuszna małżonka mogła przez czasowego swego właściciela znów u innego być zastawioną.

Czyż można w obec takich stosunków dziwić się jeszcze, że treść i forma przysłowi rosyjskich, których tematem są kobiety, nie grzeszy grzecznością i delikatnością?

Ilość przysłowi odnoszących się do wad kobiecych i do miłości jest u każdego narodu prawie niewyczerpaną.

Francuz przedewszystkiem zastanawia się nad wadliwością istoty kobiecej w ogólności i tak:

Il n'est homme, ni femme, ou il n' y ait un ci.

U kobiety, konia i krowy,
Znajdziesz zawsze różne narowy.

Des femmes et des chevaux
Il n'est point sans défauts.

Il ne faut rien demander à une femme de bien.

Niektóre usterki kobiece już na pierwszy widok wpadają w oko:

Femme sottie se connoist à la toque.

Inne pośrednio rozpoznać się dadzą:

A tel dame, tel chamberière.

Pogardliwie i z dosadniejszym szyderstwem o wartości kobiet wyraża się Rosjanin:

Siedm kobiet ma razem zaledwie jedną duszę.

Dusza kobieca to mgła.

Przechodząc do wad poszczególnych, następujące przysłowie francuskie charakteryzuje gadatliwość:

Deux femmes font un plaid,
Trois un grand caquet,
Quatre un plein marché.

Zupełnie analogicznie powiada Polak:

Cztery gęsi, dwie niewieście,
A już jarmark w całym mieście.

Rosjanin zaś gorzko powiada:

Język niewieści uciął już głowę niejednemu mężczyźnie.

O zmienności i kłamliwości kobiet powiada przysłowie francuskie:

Femme varie comme la lune,
Aujourd'hui claire, demain brune.

Przysłowia włoskie twierdzą:

Czterem rzeczom nie daj wiary: słońcu w zimie, chmurom w lecie, miłości kobiety i miłosierdziu mnicha.

Nie ufaj koniowi, co się poci i kobiecie, co płacze.

Nie daj się uwieść zakłębionemu kramarzowi i łzom kobiecym.

Albowiem:

„Łzy są najsilniejszą bronią kobiety“

to zaś pewna, iż

Źródłem łzy
Zamiar zły.

W runach fińskiej poezji ludowej znajduje się wiersz następujący:

Waż jest pełen przebiegłości,
Morskiej fali brak stałości;
Dziewczę więcej ma chytrłości,
W kobiecie więcej zmienności.

Chytrłości kobiecej dowodzą przysłowia francuskie:

„La femme sait un art avant de diable“.

„Il n'est pire ruse, que celle de femmes“.

Rosjanin zaś wdaje się w porównania:

Djabła przewyższa klecha chytrością,
Klechę kobieta swą przebiegłością.

Chytrść niewieścia możniejsza niż złość męska.

O własnościach intelektualnych i moralnych kobiety przysłowia również najgorsze dają świadectwo. Znanie jest i u nas przysłowie:

„U kobiety włos długi, rozum krótki“

stąd wnoszą Rosjanie:

Nie ma znaczenia dziecka paplanie
I równie mało kobiety gadanie.

Francuzi zaś kobietom uczonym złe wróżą widoki:

La femme qui parle latin,
Ne vient pas à bonne fin.

Nad moralnością kobiety Włosi się najbardziej zastanawiali i doszli pod tym względem do następujących rezultatów:

„Tylko brzydka kobieta jest cnotliwą“.

„Gdzie o korzyść chodzi, tam milczy wstydlivość“.

„Od kogo kobieta podarki przyjmuje,
Tego wolą zwykle się powoduje“.

Z konsekwencji takich zapatrywań wypływają nauki:

„Trzy rzeczy złe są chowane: Ptak w rękę chłopca, młode dziewczę w rękę starca i dzban piwa w rękę Niemca“.

dalej zaś:

„Kobieta, która się chętnie pozwala całować, łatwo będzie uwiedziona“.

Twierdzenie to wprawdzie nie zawsze się sprawdza, lecz może posłużyć za ostrzeżenie dla płci pięknej.

Z przekazem i zbyt naturalistycznie brzmi przysłowie rosyjskie

„Nie rozbieraj się dońko do naga, chybabyś chciała użyć kąpieli“.

Że piękność kobieca — jeden z głównych artykułów we Włoszech, stanowi treść wielu włoskich przysłów, to zapewne nikogo nie zadziwi. Wprawdzie piękność sama, bez przymiotów serca i duszy szczęścia nie stanowi, jednakże doświadczenie uczy iż:

„Dziewczę słynące z pięknej urody
Wkrótce weselne obchodzi gody“.

Zwłaszcza zaś

„Choć biedne, wnet męża dostaną dziewczynki,
Gdy wdzięczne twarzyczki ich zdobną dołeczki“.

Z drugiej zaś strony zastanowić się należy iż

„Kobieta co często w zwierciadło zagląda, kołowrotek zaniedbuje“.

„Gdy wciąż przy oknie stoi kucharka,
Kot wszystkich rosół wypije z garka“.

„Piękna żona, leniwa żona“.

„Piękność kobiety jest jak cyprys“

więc łatwo ulega zniszczeniu.

„Piękność bez wdzięku jest jak wędka bez ponęty“.

Kto bierze piękną żonę, tego przysłowia włoskie przygotowują na rozmaite przykrości.

I tak:

„Piękność żony i głupota
Razem przez twe wejść wrota“.

„Piękna żona przynosi w dom wojnę“.

„Jeżeli masz piękną żonę i konia dobrego,
Mało doznasz pociechy, wiele zniesiesz złego“.

„Komu się pięknej żony zachciewa,
Ten niechaj przy niej wartę odhywa“.

„Kto ma piękną żonę i zamek na pograniczu, nie
znajdzie spokojnego snu na łożu swoim.“

Nawet ugrzeczniony Francuz obawia się piękności kobiecej i twierdzi:

„Horloge entretenir,
Jeune femme agré, servir
Vielle maison à reparer,
C'est toujours à recommencer“.

„Femme fort belle,
Rude et rebelle“.

„Les femmes fenestrières et les terres des frontières,
sont mauvaises à garder“.

Przysłowia udzielają zatem mężom rad zba-
wiennych i nie szczędzą im ostrzeżeń:

„O zaletach żony, konia i wina nie gadaj nikomu.
Jeżeli się pragniesz ustrzec natrętnych i mieć spokój
[w domu“.

Kto postępuje wbrew tej zasadzie, dozna
złych skutków:

„Powiedz kobiecie raz jeden że jest piękną, a djabeł jej
dziesięć razy to samo powtórzy“.

„Jeśli anielskich enót nie ma twa żona,
Hojnie pięknocią zaś jest obdarzona,
Niech za drzwi domu nie wychodzi ona“.

Równego braku zaufania dowodzi przysłowie:

„Nie spuszczaaj oka z twej żony, bo łatwo na złą
wejdzie drogę“.

„Kobiety i kurczęta łatwo się zblakają,
Gdy się z podwórza swego zbyttnio wydalają“.

„Kto się w interesach żoną posługuje,
Majątek lecz razem i hańbę zyskuje“.

Nie poprzestając na udzielonych naukach,
przysłowia włoskie szukają za środkami zaradczyimi
i przy tem również nie grzeszą galanterją. Terapia
ich bowiem zagraża słabszej a upartej i krnąbrnej
połowie rodu ludzkiego — nawet kijami:

„Kobieta, osioł i orzech twardych rąk wymagają“.

„Koniowi potrzeba ostrogi, a kobiecie kija“.

„Kobiety, psy i sztokfisz psują się bez batów“.

To samo zupełnie lecz w odmiennej formie
wyraża znane polskie przysłowie ludowe:

„Jeżeli mąż żony nie bije,
To w niej wątroba gnije“.

Francuskie zaś przysłowie nie ustępuje tamtym,
twierdzi bowiem:

„Bon cheval, mauvais cheval veut l'esperon,
Bonne femme, mauvaise femme veut le baston“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LISTY O STROJACH KOBIECYCH.

III.

Jakkolwiek przywykliśmy ubiegłe dwa miesiące
nazywać „sezonem martwym“, to przecież żadna pora
roku nie jest więcej odpowiednią i sposobną do rozpo-
wszechniania, wyszukiwania i tworzenia mody, jak
właśnie lato wśród swego ruchliwego i ożywionego gwaru.
Przyczynami tej nazwy są chyba miejskie magazyny, gdzie
okna wystawowe, jakby do snu, szczelnie zakryte są fran-
kami lub pracownie gdzie turkot maszyn przycichł na czas
krótki; — a sezon sam czy jest on martwym?

Nie, on jest żywszym, ruchliwszym niż każdy
inny. Cały zbytek, elegancja, piękność i humor, które
w porze zimowej i wiosennej po dużej przestrzeni kra-
jów są rozrzucone, teraz w lecie spływają ze wszech
stron i kupią się razem; czego francuska moda z dumą jako
swą specjalność strzegła, co delikatny gust angielskiej
modystki utworzył, co Wiedeń upaja a Berlin zdumiewa,
wszystko to styka się z sobą razem wśród towarzyskiego
życia wielkich i mniejszych miejsc kąpielowych.

I tutaj dopiero daje się spostrzegać, jak zupełnie
moda wolną jest od wszelkiego przymusu. Z rozwartymi
żaglami wypłynęła, jak widmo, draperja na ocean bie-
żącego sezonu. Można też powiedzieć, że ona była je-

dynym warunkiem modnego i eleganckiego stroju, poedyne drapowania musiały ustąpić miejsca podwójnym, te potrójnym i nie było nic więcej zajmującego jak te rozmaite ich warjacje. Na spacerach widzieliśmy je wszystkie nagromadzone, lecz zarazem zauważyliśmy, że nie były one koniecznym warunkiem dla modnej damy.

Jakżeż eleganckie i piękne są te niezliczone gładkie suknie, wśród których drapowane się pokazują; jak zajmująco wygląda owa, już niby zarzucona spodnica zwana „paysanne“, jak elegancką jest princesse i jak wiele zyska przy tem „vêtement. I nie tylko toaletka angielska ale także i francuska stawia na równi spodnicę drapowaną z innemi jej formami.

To równouprawnienie będzie miało niewątpliwie wpływ także na modę jesienną i zniesie zupełnie dotychczasową przewagę draperji.

W ogóle daje się spostrzegać upodobanie w pięknych i wpadających w oko rękawach, a to nawet przy najbardziej skromnych stanikach. Nietylko zaś forma czyni dzisiejsze modne rękawy powolnymi, ale także to, że rękaw najkorzystniej się przyczynia do wzbudzenia efektu w stroju. Albowiem owe bufiaste, ścięte, przecięte, owe sznurowane i wiązane rękawy mają nie mały wpływ na całą harmonję. Spostrzegamy na nich raz delikatne odcienie jak zdjęte z owych zalotnych figurek porcelanowych, któremi przystrojamy kominki, to znowu silne, potężne, pretensjonalne kolory, które całemu kostjumowi nadają pewne znaczenie i moc jakąś, że tak powiem, pretensjonalną.

Rękawy koronkowe modnego koloru wiązane bywają szerokimi, ciemno-czerwonymi węzłami pluszowymi, ciemne gęste rękawy bufiaste z pluszu ozdabia się stosownymi koronkami. Przy niektórych rękawach spostrzegamy wstawki lub ozdoby ze wstążek; gdzie można przyozdabia się je także perłami i dżetami, w jaki zaś sposób ma się to wszystko ułożyć, pozostawia się indywidualnemu i artystycznemu sprytowi każdej krawcowej.

O modnych tkaninach pisaliśmy niedawno, otóż każda z tych sezonowych materij pojawiła się teraz w stu najrozmaitszych odcieniach barwnych; muśliny, woale, zefiry, fulary, materje koronkowe, wszystko to pojawia się w wielkiej mnogości.

Uwagi godnem jest, jak wielkie zmiany zaszły w ostatnich kilku latach. Kto zna dziś materje letnie z przed dziesięciu laty? Wraz z latem, o którym pojęcie daje nam dziś chyba tylko kalendarz, zniknęły też wszystkie dawne lekkie materje.

Przypomnijmy sobie, jak miłem, wesołem, przyjemnem i swobodnem czyniły dawniej lato te przezrocze, pajęczęj delikatności gazy, lekkie jak powiew wiatru batysty, owe latem tchnące bareże i w ogóle wszystkie dawne lekkie, prawdziwie letnie materje. Dziś sezon

letni zna tylko wełniane tkaniny, a także i jedwab. Koronki, gazy i inne lekkie materje należą teraz do wyjątków; a te co jeszcze występują, straciły już wiele na swym lekkim powiewnym charakterze. Lato odróżniamy dziś jedynie po kolorach stroju.

Zagranicą tego roku stroiły się panie w najwykwintniejsze toalety, równające się karnawałowym ciężkim, bo nietylko jedwabie i aksamity, ale i plusz się ukazywał, choć dotychczas był wyłączną własnością zimy.

Chociaż toalety podróżne trzymają się swoich znanych stałych barw, to przecież Angielki lubią używać sukien czerwonych nietylko do podróży ale i do wycieczek górskich, a na brzegach morskich pojawiają się w całej pełni barwy czerwone, bo nawet płaszcze i peleryny z kapturkami. Upodobanie do barwności nie ustaje też i w zarzutkach. Częściej niż dawniej spotykamy teraz mantylki kolorowe i fachu z rozmaitych cieni i barw koronek, a żakietki nietylko podszewkę ale i materję mają złotawo niebieskawą (morine) lub czerwoną; także płaszcze szkockie bardzo noszą z wszelkiego rodzaju jedwabnymi koronkowymi i ozdobami. Płaszcze długie od deszczu a tak mało estetyczne pojawiają się teraz w żywych kolorach, a płaszcze gumowe bywają także w kolorach i tak np. silno niebieskie (ultra-marine), jasno żółte i t. p. a więc nadzwyczaj w oczy bijące. Popyt za nimi jest bardzo wielki, gdyż fabrykantom udaje się nawet teraz usuwać ową niemiłą woń, jaka tym płaszczom a raczej materjom właściwa, a płaszcze z sukna i wełny służące do tego samego użytku, chociaż także są dogodne, jednak tamtych zastąpić nie mogą.

Elegancki bardzo jest kostjum z lekkiej wełny, heliotropowego koloru w drobne paski. Na zwykłej fałszywce daje się w koło fałbaneczkę tak jakby baljezkę, a na tem spodnicę czyli do samej góry fałbanę wysoką, której boki są tak ułożone, że mają po dwa fałdy szerokie zaplisowane do przodu, i zajmują nietylko klin ale i po kawałku tylnego bryta.

Fałdy te są przypięte stosownymi guzikami z imitacją dziurek tak gęsto, żeby się do dwudziestu wzdłuż zmieściło. Przedni bryt znów jest ułożony w dubeltowy kontrafałd na samym przodzie w szerokości jaka tylko najszersza da się ułożyć a zwężona do góry do samego pasa do 15 centymetrów. Fałd ten nie ma być zaprasowany ale swobodny i ładnie będzie, jeśli się będzie trochę drapował od fałdów guziczkami przypiętych.

Fartuszek z przodu ma być najzwyczajniejszy krótki, ale tak ma być dany, ażeby zdawało się, że fałd na przodzie przepina go na samym środku — albo może lepiej powiedzieć, że wychodzi z pod przedniego fałda przechodzi przez przód i jeden fałd z guziczkami, a chowa się znów pod drugim. W tyle daje się parę dużych

fałdów pojedynczych do środka składanych, trochę niżej pasa, a od pasa ładne udrapowanie dochodzące do połowy długości spodnicy. Staniczek tylko do pasa zapięty skośnie od pół ramienia a w pasie już na samym przodzie — na takie same guziki. Rękawy zwykle zapinane na guziki, kołnierzyk z tego samego materiału wysoki stojący. Pasek zwykły, ale okryty taką samą materją jak suknia, tylko z dobraną klamerką stosowną do guzików.

Piękną jest suknia z materiału „foulé“, w paski, lub zamiast materji paskowanej można dać dobrany do koloru aksamit w paski. Spodnica niekoniecznie do samego pasa ma być wysoka, albowiem daje się na niej duże fartuszkowe opięcie z przodu w zęby wycinane w koło, ale tak długie, żeby na dole więcej jak 10 centymetrów spodnicy nie było widać. Boki zaś obydwu spodnicy mają być widoczne o tyle, o ile na to piękne ułożenie opięcia pozwala. Tylne opięcie jest także jakby duży fartuch w głębokie fałdy układany ale wcale nie podpinany tylko znów w koło wykończony wycinanymi zębami, które bokiem zachodzą aż do samego pasa i są tak wycięte, że się zdaje jakoby przedni fartuszek wychodził z pod tylnego opięcia. Staniczek wyszpicerowany mocno z przodu a z rodzajem fraczka bez fałdów w tyle tylko z małym wpuszczeniem z paskowanego materiału lub aksamitu. Przód staniczka jest z paskowanej materji takiej jak spodnica ale nie cały, tylko na ramionach jest szerokości dochodzącej do ramiączka dekolowanego i sercowato kończy się aż do szpica stanika. Boki i reszta przodów jako też i plecy są znów z materiału gładkiego. Na plecach jest wpuszczenie z paskowanej materji idące od przodów na ramionach i kończące się spiczasto w połowie pleców. Rękawy z materiału paskowanego a wykończone spiczastym mankietem gładkim, — kołnierzyk paskowany wysoki.

Justyna Gostyńska.

PANNA-DOKTOR

(Karola Neumann-Strelli).

W mieście Goetyndze był w roku 1787 ruch niezwykle. Z każdego okna powiewały chorągwie, wszystkie domy uwieńczano kwiatami, wszędzie brzmiała muzyka. Przez bramy miasta wjeżdżali starcy, mężczyźni dojrzały i młodzieńcy, aby uroczysto święcić jubileusz 50-letni uniwersytetu w Goetyndze. Najpierw Bogu chwała! We wszystkich kościołach odbywały się dziekczynne nabożeń-

stwa za powodzenie i rozkwit uniwersytetu w ciągu połowy stulecia, a każdy życzył i modlił się, aby niebo i nadal miało instytucję tę w swej opiece, na pożytek, błogosławieństwo i chwałę mądrości, prawdy i piękna.

Po nabożeństwie nastąpił akt oracyj w auli. Rector magnificus wygłosił przed zgromadzonymi panami i paniami mowę, w której dał krótki przegląd uniwersytetu od czasu jego założenia. Prawie 15.000 studentów wstąpiło już w progi «Georgii Augusty»; pomiędzy tymi znajdowało się 150 niemieckich książąt i hrabiów, trzech najmłodszy synowie króla Jerzego III., młodszy książę Chatillon i książę Luxemburg. Założyciel tej instytucji, sławny baron Münchhausen dawno już spoczywał w grobie, a wielu profesorów, pomiędzy którymi naznakomitszym był Pütter, poszło w ślad za nim. Ale i w tym uroczystym dniu mógł uniwersytet wykazać pomiędzy swymi profesorami niemałe znakomitości; byli nimi: Schloezer, Spittler, Kästner, Heyne, Gatterer i Michaelis. Tym wszystkim zgromadzonym w auli profesorom wyraził rektor serdeczne dzięki za niezmordowaną ich działalność około tej instytucji, a w końcu zwrócił się do nich z prośbą, aby i nadal oddawali się tak wiernie tej pracy, ażeby gdy znów jedno 50-lecie minie, kto inny mógł na tem miejscu powiedzieć: że wszyscy byli prawdziwymi przyjaciółmi i wiernymi sługami «Georgii Augusty».

Żona historyka Schloezera nie była w auli obecną; pozostała w domu przy córce swej Dorocie, której pomagała przy ubieraniu się do «ważnego kroku», i którą oddała mężowi za jego powrotem do domu.

Siedmnastoletnia Dorota miała na sobie białą sukienkę, a włosy jej nieupudrowane, były gładko uczesane na skroniach, bez wszelkiej fryzury, jak «muzułmanin». Długi biały welon, podtrzymany grzebieniem rogowym, spływał na jej plecy.

Życzeniem jej najgorętszem było osiągnięcie biretu doktorskiego, a nie zdarzyło się jeszcze od czasu założenia tego uniwersytetu, aby młoda dziewczyna zażądała być tu egzaminowaną celem pozyskania godności akademickiej. Egzaminatorowie odłożyli z przyzwoleniem króla — protektora, egzamin jej na ten dzień uroczysty, i ustanowiono aby deputacja przyprowadziła młodą panienkę do auli.

W Goetyndze zamiar jej był w istocie rzeczą nową. Ale w Leodjum doktoryzowano holenderkę Katarzynę Alkmaar już w jej piętnastym roku; tę

to dziewczynę obrała sobie na wzór godny naśladowania i spodziewała się, że duch Katarzyny będzie jej pomocą i opieką.

Deputacja weszła na ulicę Paulinów, przy której Schloezer mieszkał. Przyjął on «panów studentów» w najstrojniejszym swym pokoju, w salonie. Tam stał szpinet, szafa do pisania ozdobiona niezliczonymi zamkami mosiężnymi, i kanapa obciągnięta tkaną cycą. A ściany ozdobione były miedziorytami w brązowych ramach, będącymi naśladownictwem sławnych obrazów Verneta, przedstawiających morze.

Senior deputowanych sprowadził Dorotę ze schodów, a przed domem oczekiwali ich najmłodszy studenci z chorągiewami. Każdy z deputowanych wziął swoją chorągiew i pochód począł się porządkować. Na samym przedzie szedł Liwlandczyk z białą chorągwią, a za nim Dorota pomiędzy seniorem, a ojcem swym. Za nimi postępowali Holsztyńczyk i Nadreńczyk, Węgier i Siedmiogrodzanin, Hanoweranin i Westfaleczyk, Polak i Meklemburczyk, Gdańszczanin i Kurlandczyk. Do tego pochodu przyłączyło się dwudziestu czterech studentów, nie należących do żadnego związku, a przed portalem uniwersytetu pedele przyjęli tych gości.

Uroczystym krokiem pochód zbliżał się do auli. Na krześle przybranem aksamitną kapą na sposób namiotu, usiadła Dorota. Ojciec jej, i rector magnificus otrzymali miejsca obok niej, a reszta profesorów, wraz z wielu studentami stało dookoła niej.

W przyległej niży ustawiono stolik pokryty obrusikiem z delikatnej przędzy; na nim przygotowano talerzyk z konfiturami, dwie flaszki kryształowe, zawierające limonadę i mleko migdałowe, i dwie wazki szklaneczki.

A «studiosus juris» Herman Rodde z Lubeki otrzymał zlecenie podawania pannie Dorocie podczas przerw, rozmaitych tych chłodników.

Przystąpiono do egzaminu. Pierwszym pytającym był profesor Michaelis, znakomity orjentalista i wydawca sławnych «nowin naukowych» wychodzących w Goetyndze. Zadał jej pytanie czy prawdopodobieństwem był obraz zwierciadlany, widziany z wieży latarni morskiej w Aleksandrii, który muzułmanom ukazał chrześcijańskie okręty w Konstantynopolu.

Dorota w odpowiedzi swej odwołała się na badania sławnego Ismaela Abulfedy, moslemickiego księcia i autora, dotyczące tej kwestji, i wskazała,

że w jednym ze swych dzieł dowiódł on przekonująco, że obraz widziany przez muzułmanów był tylko złudzeniem.

Z kolei nastąpił matematyk Kaestner, który Dorotę ostro egzaminował. Wydawało się, że końca nie będzie jego pytaniami z dziedziny arytmetyki, geometrii, dioptryki, katoptryki i perspektywy. Sam później przyznał się, że starał się «dolki pod panną kopać», ale nie można jej było «z siodła zrzucić», a przy końcu entuzjastycznie uściśnął jej rękę.

Teraz mógł Herman Rodde wywiązać się ze swego zadania. Podał Dorocie konfiturę i szklanekę mleka migdałowego.

Następnym egzaminatorem był historyk Gatterer. Dał jej tylko krótkie pytanie, w którym roku Temistokles odniósł zwycięstwo nad perską flotą obok wyspy Salaminy, ale młoda kandydatka dała mu w odpowiedzi zarazem trafną charakterystykę wymienionego dowódcy (Greków i dokładny opis floty.

Po Gattererze nastąpił filolog Heyne, który dał jej do przetłumaczenia odę Horacjusza opiewającą bitwę pod Akejum. Wreszcie badacz-historyk Spittler zażądał od niej dokładnego opisu rzymskich budynków z czasów Tyberjusza. I na to pytanie dała Dorota wyczerpującą odpowiedź, poczem egzamin się zakończył.

Egzaminatorowie i rector magnificus udali się teraz do sali pobocznej. Tam przedłożono zamiast zwyczajnej dysertacji, dziełko Doroty o rosyjskiej numizmatyce. Czyż potrzebne jeszcze były dalsze narady? Rektor przyznał jej stopień i tytuł doktora prawa «z odznaczeniem», a wszyscy mu przyklasnęli. Wniesiono natychmiast mały, zgrabny birecik doktorski — podobny do kapelusika Porcji przedstawiającej prawnika w sztuce Shakespeare'a, i profesorowie wrócili do auli.

Tutaj mowca wyraził Dorocie w łacińskiej przemowie nadzwyczajną pochwałę. Ale odważna kandydatka — opisuje nam to świadek naoczny — drżała teraz tak silnie, że ledwie na nogach stać mogła. Spełniło się wreszcie największe, najgorętsze jej życzenie! Na dany znak ojciec jej wyjął grzebień z włosów, biały welon zsunął się, a rektor ozdobił birecikiem jej głowę.

Wtedy zabrzmiało w całej sali: «Niech żyje Dorota Schloezer! Niech żyje nasza «Georgia Augusta! Wiwat!» Uderzono w kotły, odezwały się trąby, i w uroczystym pochodzie odprowadzono pannę-doktora do domu.

Jubileusz uniwersytetu obchodzono jeszcze przez następne dwa dni, w których na przemian odbywały się biesiady i iluminacje, ognie sztuczne i pochody z pochodniami. Potem w Goetyndze znów wszystko ucichło.

U Schloezer odbyła się w zwyczaju będąca uczta doktorska, przy której stoły uginały się pod ciężarem potraw i napojów dostarczonych z kuchni i piwnicy. Sprawodawca nasz opowiada, że były tam: pieczeń barania, cielęca i wieprzowa, filet i indyki; a z napojów: Ronissilon, wino francuskie, de Sauterne, eriauskie, szemlauskie, burgundzkie i szampan. Rector magnificus wychylił kielich na zdrowie «doktora philosophiae Doroty Schloezer» a Herman Rodde na zdrowie jej rodziców.

Ale czy Rodde już w auli zanadto głęboko wglądał w jej oczy? Czy też może serce jego rozbuździło się dopiero podczas tej uczty? Nie mógł od niej oczu odwrócić i przyszedł też natychmiast w dniu następnym, aby się dowiedzieć o jej zdrowiu. Wkrótce zaczął tam bywać codziennie, a matce nie uszło jak chętnie Dorota na to patrzała. Był on jedynym synem zamożnego kupca z Lubeki, a zdolności jego zapowiadały mu świetną karierę.

Gdy zima nastała, bywał tam już co wieczora, a w święto Bożego Narodzenia wyszedł z domu, prowadząc się pod rękę z Dorotą.

Udekorowana kandydatka była szczęśliwą narzeczoną, a niektórzy utrzymywali, że niepotrzebnem było długie ślęczenie nad książkami, i egzamin, gdyż porządna gospodyni nie może mieć z tego żadnej korzyści. Ale ci nie wiedzieli, że Dorota wcale nie miała zamiaru ciągnąć pożytek jakikolwiek ze swego tytułu doktorskiego. Ani nie chciała otworzyć sali do wykładów, ani wstąpić na katedrę, ani poświęcić się nauce; chciała jedynie naśladować holenderkę Katarzynę Alkmaar.

Ale lata minęły, nim mogła zostać żoną Roddego. Dopiero, gdy po odbytych egzaminie przed całym kolegium, osiadł jako obrońca w Lubece, odbyło się wesele, a Dorota stanęła przed ołtarzem w tym samym stroju, który służył jej w auli, tylko na głowie, zamiast zgrabnego birecika miała wieńiec mirtowy.

Z biegiem czasu Rodde został burmistrzem, a za wiele lat usunął się, będąc chorowitym, w zacisze domowe. Dorota była dla niego zawsze czułą małżonką, a dla dzieci najlepszą matką.

Przeżyła męża swego o wiele lat, a przypadek zdarzył, że ducha wyzionęła w Goetyndze, gdzie odwiedziła córkę owego rektora, który jej

niegdyś biret doktorski na głowę włożył. Za trumną jej szli wszyscy profesorowie i wielu studentów, a na wieku trumny, ozdobionej wieńcem laurowym i żałobną gazą, spoczywało dzieło jej o rosyjskiej numizmatyce, i mały, trójkątny birecik.

Kroniczka dla kobiet.

P. Sławomir Celiński w Warszawie udziela lekcji rzeźbiarstwa dla kobiet.

— W gimnazjach żeńskich Petersburga od przyszłego roku szkolnego ma być znacznie podniesioną opłata za słuchanie lekcyj. W gimnazjach kołomieńskiej i piotrowskiej zamiast 70 rs., uczennice będą płaciły 90 rs., a w pozostałych zamiast 80 rs. — 100 rs. Na kursach pedagogicznych opłata zostanie podniesioną z 75 na 100 rs. rocznie.

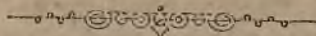
— Rada akademji sztuk pięknych w Petersburgu ograniczyła liczbę kobiet mogących się w niej kształcić, skutkiem czego w r. b. nowe uczennice przyjmowane nie będą.

— W liczbie osób, które przybyły do Rosji dla obserwowania zaćmienia słońca, znajduje się, jak donoszą „S. Pieturburskija Wiedomosti“ kobieta-astronom, miss Elwira Cook, która studjowała astronomję pod kierownictwem najznakomitszych europejskich uczonych. Miss Cook jest córką mechanika, który dłuższy czas bawił w Rosji; urodziła się w Moskwie i umie nieco po rosyjsku.

— Badeński Frauenverein rośnie z roku na rok, liczy bowiem 119 oddziałów z 15.611 członków, t. j. w r. 1886 więcej 1107 niż w poprzednim, miał dochodu 163.410, wydatków 143.655 marek, utrzymywał 10 szkół żeńskich i roboczych o 2658 dzieciach.

— W Bostonie mianowana została profesorem uniwersytetu pani Church, mająca stopień doktora medycyny. Wykładać będzie gynecologję. Uzupełniała swe studja w pierwszorzędnym klinikach angielskich, francuskich i niemieckich.

— W dniu 4. października b. r. ma być otwarty w Eghen pod Windsorem w Anglii uniwersytet żeński, powstały z zapisu testamentowego aptekarza Holloway. Uniwersytet ten będzie nosił nazwę „Royal Holloway College“. Rektorką ma być miss Bishop.



RUCH LITERACKI ARTYSTYCZNY

Teorja epopei nowożytnej.

(Dokończenie.)

II.

Dyskusje estetyków i poetów współczesnych o formie epopei nowożytnej dają przedewszystkiem do rozstrzygnięcia pytania, czy zachowaną być musi szata rytmiczna, czy też prozie przyznać można uprawnienie estetyczne. Znaną jest w tym względzie wymiana myśli, jaka nastąpiła między Schillerem a Goethem ex re «Wilhelma Meister'a». Schiller zarzuca «Wilhelmowi» brak poetyczności, a przypisuje to głównie formie jego zewnętrznej. «Forma Meister'a» — twierdzi Schiller — «jest wprost niepoetyczną, leży ona kompletnie w dziedzinie rozumu, podpada pod wszystkie tegoż wymogi i z nim też wspólne ma granice». Goethe w odpowiedzi swej przyznaje wywodowi temu słuszność i twierdzi, iż wszelka treść poetyczna winna otrzymać formę rytmiczną. Spielhagen, a wraz z nim większość estetyków nowszych, staje w obrobie prozy. Według nich, uprawnioną jest zawsze ta forma, która umożliwia przedstawienie najbardziej odpowiadające przedmiotowi (die dem Objekte adaequate Darstellung). Starożytna poezja epicka, która pomijała mnóstwo szczegółów i wykluczała z zakresu swego drobnostkowość codzienną, potrzebowała rytmu i mogła się nim posługiwać; ale chcąc dziś przedstawić życie tak, jak człowiek nowożytny je widzi, konieczne pogłębiać musimy tło, konieczne wciągnąć musimy w ramy przedstawienia niezliczone drobnostki, dla których rytm nie byłby już formą odpowiednią, ale wprost tamą. Dlatego to, wychodząc z założenia, że wraz z ogółem stosunków kulturalnych i formy poetyczne przekształcać się muszą w ścisłym z treścią związku, Spielhagen uważa prozę za normalną epopei nowożytnej formę. Epopeja pisana prozą, będzie dla niego nawskróś poetyczną, skoro tylko w całej rozciągłości posługiwać się będzie obowiązującą ją estetycznie metodą wykonania, tj. plastycznym, bezpośrednim przedstawianiem osób, stosunków i rzeczy. Atoli w tym właśnie względzie zasadni-

czym, który zachowany w pełni, prozaiczną powieść nowożytną sam jeden utrzymać może na wyżynie prawdziwie artystycznej epopei, powieść ta najczęściej grzeszy — i w tem powód niższości jej w porównaniu z epopeją starożytną. Uformowawszy już treść i przedstawiciele jej wedle przepisów estetycznych i spotęgowawszy dzielność owej plastycznej obiektywnej metody przedstawiania za pomocą szczęśliwych pomysłów do najwyższego stopnia, epik nowoczesny przekonywa się, że w utworze swym nie tylko oddać nie zdołał obrazu całego życia nowożytnego, ale że nawet na wystawienie owego ograniczonego życia tego odłamu ramy utworu jego, chociażby najszerzej zakreślone, nie starczą. Doświadczenie to czyni poeta zazwyczaj dopiero w drugiej połowie pracy swej i wówczas to pragnąc gwałtem pomieścić treść przygotowaną, porzuca częstokroć metodę bezpośredniego przedstawiania rzeczy, rysuje tylko konturami, streszcza w sposób suchy i nieplastyczny, słowem, spycha utwór swój niżej poziomu epopei artystycznej.

Do usunięcia zasadniczego tego niedostatku dąży właśnie teorja Spielhagena o formie, a raczej o sposobie przedstawiania w epopei nowożytnej. Twierdzi on, że epik nowoczesny, zrozumiałwszy ową organiczną konieczność identyfikowania się z bohaterem swego utworu, układa utwór ten w formie bezpośredniego, osobistego opowiadania (Werther). Niebawem jednak, poczęści dla usunięcia niektórych osobistych dolegliwości, łączących się z tym sposobem opowiadania, poczęści dla obiektywnego ułatwienia przedstawienia, poeta własne zapatrywania i doświadczenia wyraża przez usta zmyślnego bohatera, o którym opowiada jako o osobie obcej (Wilhelm Meister). Oto jest zwykła forma powieści nowożytnej, która, grzesząc — częstokroć z konieczności — w kierunku obiektywnego przedstawiania, nie dorasta miary epopei nowożytnej, czyli podjęcie opowiadania osobistego (des Ich-Romans), z tą jednak różnicą, ażeby podmiot opowiadający w ten sam sposób był zmodyfikowany, jak dotychczas zmodyfikowanym bywał bohater (der «Er-Held»), powstający z indywidualności poety. W jak rozmaitym stopniu modyfikacje takie bywają zastosowywane, okazują nam powieści w formie opowiadania osobistego, jak «Simpli-

cissimus» wydany przez Kurza, «Tristram Shandy» Sternego, «Vicar of Wakefield» Goldsmitha, «Dawid Copperfield» Dickensa, «Le Petit Chose» Daudeta, a wreszcie «Waldfried» Auerbacha, w którym autor zatarł prawie zupełnie rysy własnego swego życia. Pod względem możliwości modyfikowania własnej istoty autora w utworze epickim zachodzi więc w tej formie opowiadania też sama dowolność, jaką uważano dawniej za zaletę zwykłej, nieosobistej formy. O ile zaś opowiadanie osobiste przewyższa zwykłą ową formę pod względem dogodności artystycznej? Spielhagen wskazuje na następujące momenta.

Poeta, opowiadając o losach swych wprost (w osobie pierwszej), wyrażać może subiektywne swe zapatrywania, niekępowny, jak to w zwykłej formie bywa, względami sytuacji, w której bohater chwilowo się znajduje, i w ten sposób wkraczanie poety w tok opowiadania epickiego nie odbywa się z uszczerbkiem dla artystycznej wartości utworu. Zalecana przez Spielhagena forma opowiadania nadaje całości utworu pewien nastrój poetyczny, za pomocą którego opanować można artystycznie szczegóły realnego życia, nieodzowne dla epopei nowożytnej.

Dla wykazania dalszych zalet osobistego opowiadania niechaj posłuży ustęp z «Copperfielda» *) Dickensa, klasycznego tej kategorii utworu.

«Niechaj rozważę, do czego to doszedł!»

«Opanowałem mistyczną stenografię sztukę. Przynosi mi ona wcale pokaźne dochody. Używam rozgłosu w sprawach tej sztuki, jestem jednym z owych dwunastu panów, którzy referują debaty parlamentarne dla gazet porannych. Noc po nocy prorokuję przepowiednie, które nigdy się nie spełniają, przyrzeczenia nigdy niedotrzymywane, wyjaśnienia, które rzecz jeszcze zaciemniają. Tarzam się w słowach. Jestem o tyle za kulisami, że mogę ocenić wartość życia politycznego. W tym względzie kompletnym jestem niedowiarkiem i nigdy nawróconym nie będę.

«Spróbowałem innej drogi. Z trwogą poszedłem pomiędzy autorów. Napisałem potajemnie coś tam drobnego i posłałem do pisma; pismo wydrukowało. Od tego czasu nabrałem odwagi i napisałem cały szereg podobnych rzeczy. Obecnie regularnie mi za nie płacą. Wziąwszy wszystko razem nieźle się mam; skoro obliczam moje dochody na palcach lewej mej ręki, dochodzę po trzecim palcu aż do połowy czwartego».

Ustęp ten ilustruje trzecią ważną zaletę bezpośredniego opowiadania: forma ta pozwala autorowi przebyć dłuższe często okresy czasowe w kilku zaledwie wierszach, nie znosząc koniecznej dla utworu artystycznego ciągłości akcji: ta bowiem udokumentowana jest niejako zawsze samem istnieniem bohatera opowiadającego; i w ten sposób staje się dla poety możliwym pomieszczenie kolosalnej w czasie i przestrzeni treści zamierzonego obrazu przy ścisłym obserwowaniu nakazanej estetycznie obiektywnej, plastycznej metody przedstawiania.

Ważna to zaleta niezaprzeczenie i przy powierzchownem traktowaniu rzeczy ona jedna zdobyćby mogła dla projektowanej przez Spielhagena formy umysły epików współczesnych. Należy jednak zważyć, że forma ta, znosząca rzeczony niedostatek estetyczny, naraża utwory epickie na niektóre groźniejsze jeszcze trudności i niebezpieczeństwa, a w pewnym względzie organicznie w nie wplata wadliwość. O niebezpieczeństwach tych wspomina sam Spielhagen, tłumacząc, dlaczego projektowana przezeń forma, mimo ważnych swych zalet, tak rzadko bywa zastosowywana. Autorowie o wytrawnem poczuciu estetycznem obawiają się, po pierwsze, że mimowoli nadużyją tej formy i obniżą estetyczną wartość utworów swych, dając folgę skłonności swej do uwag i wycieczek filozoficznych lub humorystycznych, które prace Sternego i Jana Pawła Rychtera pozbawiły cechy klasyczności, a których trudno ustrzec się, opowiadając w formie osobistej. Ale chociażby autor w tym względzie zapomniał nad sobą, forma opowiadania osobistego zmusza go do pokonania trudności stokroć większej, już nie subiektywnej, ale wypływającej z natury rzeczy. Opowieść epicka o zwykłej formie opiera się na pewnej fikcji, o której zazwyczaj ani autor ani czytelnik nie myśli, na którą milcząco wszyscy się zgodzili, a która, raz dozwolona, umożliwia autorowi wystawienie całego dzieła: jest to wszechobecność i wszechwiedza poety, który opisuje nam z plastycznością i obiektywnością świadka naocznego zdarzenia, równocześnie na kilku miejscach się odbywające, lub stany psychiczne kilku występujących w utworze osób. W formie opowiadania, którą Spielhagen nazywa «der Ich-Roman», autor, a zarazem bohater opowiadający, obecność swą i wiadomość o tem lub owem w każdym poszczególnym wypadku musi wylegitymować. Opowiadanie osobiste, od początku aż do końca swego, jest walką o tę legitymację. Występuje tu niesłychana trudność łączenia wszystkich osób utworu z bohaterem w ten sposób, ażeby osobiste stosunki tegoż umożliwiły uzyskanie owego bogactwa informacji, niezbędnego dla utworu epickiego.

*) Tauchnitz Ed. T. III, p. 106.

Ile tu rzeczy musi być nieprawdopodobnych, naciąganych, jak niepokonanie trudnemi muszą być niektóre przejścia, jak niesłychaną pamięcią autor obdarzyć musi bohatera opowiadającego, to każdy bez trudności zrozumie.

Ale oprócz tych trudności i nienaturalności, które sam Spielhagen przyznaje, istnieje jedna jeszcze nienaturalność, której Spielhagen nie uwzględnił, a wskutek której nie podobna nam uznać formy przezeń zalecanej, jako najodpowiedniejszą dla epopei nowożytnej jako takiej, tj. dla wszystkich jej kategorii. Opowiadanie, czy to obiektywne, w osobie trzeciej, czy też pozornie subiektywne, osobiste, skoro stanowić ma nie lichy, bez wartości wytwór naracji codziennej, ale epopeję artystyczną, jest sztuką główną, a raczej sztuką jedyną poety epika. Kompozycja opowiadania tego musi odpowiadać wymogom tyle dziś wydoskonalonej estetyki, wykończenie jego zewnętrzne niemniej stosować się musi do ustalonych praw estetycznych. Fikcją tu pomóc sobie nie możemy. Skoro człowiek zwykły, a chociażby wybitny, ale nie poeta-epik, wprowadzonym jest w utworze jako bohater — opowiadający, to od pierwszej do ostatniej strony żadnego teoretyka epickiego nie odstąpi myśl: Kądżeż ten człowiek tak umie opowiadać? I otóż rozpadł się cały rezultat, owa ścisła obiektywność, tyloma okupiona ofiarami i walkami: czujemy, że to nie bohater, ale autor opowiada. Wystawmy sobie, że malarz jakiś przedstawia nam portret mieszczanina niderlandzkiego, który na tym samym obrazie wymalowanym jest z pędzlem w ręku, zajęty robotą własnego portretu. Tak bowiem wyglądałaby metoda Spielhagena, przeniesiona w dziedzinę innej sztuki. Forma tedy przezeń proponowana ma rację bytu i zastosowaną być może w pełni zalet swych — zdaniem naszym — w jednym tylko wypadku: skoro autor jako bohatera opowiadającego wprowadza poetę, któremu przypisać możemy zdolność opowiadania artystycznego. A. N.

Salon paryski.

(Ciąg dalszy).

P. Guillon ma talent mniej skoncentrowany, spostrzega i pochwytuje tylko powierzchowność rzeczy, lecz natomiast objawia wytworny smak w aranżowaniu sytuacji malowniczych. Obraz jego zatytułowany „L'Arrivée du pardon de sainte Anne de Fouesnant a Concarneau“, przedstawia jakoby procesję na morzu: cały pochód z chorągwami i obrazami świętych, poprzedzony młodemi, biało

postrojonemi dziewczętami wysiada właśnie z okrętów na brzeg; zachodzące słońce oświetla wierchołki i stroi morze w spokojne złociste połyski; okręty na pierwszym planie rzucają czarne cienie po za siebie, a figury wstępują jako wyraźne sylwetki na horyzoncie mglisto zarysowanym. Dzięki temu oświetleniu, obraz nie będąc kolorowanym jest przecie bardzo ożywionym i czyni wrażenie uroczystości religijnej w pełnym świetle obchodzonej; jest to znów przykład dowodzący słuszności prawa już raz przytoczonego, że jasny promień świetlany, przy umiejętnem manewrowaniu może widowisku czysto optycznemu dodać ułudę efektu moralnego.

Nadzwyczaj licznym jest w Salonie zastęp obrazów poświęconych czcigodnej korporacji karawaniarzy; wymieniamy tu tylko „Pogrzeb młodej dziewczyny“ pędzla p. Langée i „La maison mortuaire“ szwedzkiego malarza p. Osterlind, nie chcąc zaś powiększyć smutku i melancholji i tak już zawodowi krytyka właściwej, opuszczamy świat śmierci i wступujemy w świat pracy.

Jednym z najlepszych malarzy wiejskich jest dziś p. Lhermitte. Od kilku lat śledzimy z uwagą jego usiłowania, odczuwamy bowiem u niego gorliwość i sumiennność prawdziwego badacza prawdy, który jednakże pragnie okraścić cokolwiek prozę codziennego życia. Ambicja ta jest zupełnie usprawiedliwiona, nie ulega wątpliwości, że z pola, które Franciszkowi Milletowi tak bogatego dostarczyło plonu, dałoby się jeszcze zebrać obfite pokłosie. Obraz „La Fenaision“ przedstawia małą przerwę podczas sianozęcia. Z lewej strony jeden z kosiarzy naprawia swą kosę; z prawej strony kobieta i młody człowiek spoczywają na wiązce świeżo ściętej trawy; za nimi powabna dziewczeczka trzyma widła i grabie; w głębi stogi widać siana, jeszcze przez słońce nie wysuszonego. Nie ma nic teatralnego w tej dyspozycji. Ludzie wyglądają zupełnie po wiejsku, a łąka nie przedstawia się jakby dekoracja w operze. Prawdziwość jest główną zasługą tego obrazu. Spostrzegamy w nim jednakże brak pewien. Jak wyżej powiedziano, p. Lhermitte nie jest czystej krwi naturalistą, lecz objawia dążność lekkiego idealizowania realistycznych widowisk, jakie oczom jego przedstawiają wie i pola rodzinne. Czy potrafił artysta urzeczywistnić to marzenie? Nie w zupełności, i łatwo odkryć przyczynę. P. Lhermitte jako malarz zbyt często pamięta o sławnym rysowniku, który się wślawił ciemnymi i jasnymi rysunkami. Malując figury naturalnej prawie wielkości, należy zapomnieć o procedurze używanej przy wykonaniu ołówkiem rysunku na białej karcie papieru o ścieśnionych rozmiarach. Przy rysunkach ołówkiem artysta naturalnie musi zwracać baczną uwagę na każdy szczegół, każdemu pociągnięciu ołówka nadaje znaczenie, każdą kreską prawie wyraża lub precyzuje myśl jakąś. Metoda ta wysmienita jest u obrazów, które mają być widziane z bliska, lecz mniej skuteczną okazuje się

w obrazie o wielkich rozmiarach, gdy oko pochwycić ma całość i nie zatrzymywać się na szczegółach.

Rzeczy można, że p. Lhermitte w swoje „Sianożęcie“ zanadto wiele włożył sumiennosci. Dobrą wolę zawsze uznać należy, lecz malarz zatarł niejako wrażenie całości nagromadzeniem zbyt wielu szczegółów, a niektórym z tych szczegółów, np. fałdom sukien zbyt wiele poświęcił uwagi. Postacie p. Lhermitte byłyby o wiele efektowniejsze, gdyby się przedstawiały nieco ogólniej, tj. prościej. Nie jest to wymaganie sprzeciwiające się lub przechodzące jego instynkt artystyczny. Spostrzegamy u artysty tego już od dłuższego czasu objawy niezawisłości i wznioślejsze skłonności: niechaj będzie odważniejszy, niech pomija szczegóły, niech uprości i skróci praktykę w wykonaniu, a dojdzie wnet do spotęgowania i rozszerzenia stylu swych postaci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

— „Dziennik Polski“ rozpoczął publikację ciekawych „Myśli politycznych“ Mik. Zyblikiewicza; pełno tu bystrych a nowych spostrzeżeń, styl jedyny, cięty, poglądy śmiałe. Autor charakteryzuje konstytucję ludową i biurokrację austriacką, ich znaczenie i skutki; dalej Belcrediego i Beusta. W druku tej pracy nastąpiła nagle przerwa chwilowa, gdyż przeciw ogłaszaniu zaprotestował wykonawca testamentu Zyblikiewicza dyrektor Słęk, jako weale o tem nie powiadomiony.

— W Warszawie nakładem Gebetnera i Wolffa wyszły „Nowele Stanisława Grudzińskiego“.

Świeżo wydany zbiorek przedwcześnie zgasłego przed trzema laty autora, mieści w sobie siedm utworów: „Zamieć zimową“, „Koncert“, „List bezimienny“, „Nr. 2564“, „Śnieżyćce“, „Lalę“, „Okno na poddaszu“. Grudziński był przede wszystkim poetą i do tego lirycznym. Powieściowe utwory jego — to improwizacje na temat różnych kolizji miłosnych, z cierpką prawdą życia mające mało wspólności. Fabuła ich prosta, pozbawiona krętej gmatwaniny zawiąkania, świadczy sama jedna o tem, że młody autor, pomimo swego idealizmu, nie dawał folgi bujnej wyobraźni i nie tworzył ludzi ani sytuacji wedle wzorów Sue'go, Dumas'a ojca lub Wiktora Hugo. Podkład utworów jego, tło tychże wzięte z życia, sposób opracowania daleki od metody, jaką się posługuje twórczość powieściopisarzy dzisiejszych.

— W wyszłym w tych dniach zeszycie XLVIII „Pamiętników literatury starożytnej“ mieści się wyciąg z „Kroniki“ Pawła Piaseckiego, biskupa przemyskiego, historyka polskiego z XVII. wieku, p. n. „O smutnych czasach i polsko-moskiewskiej wojnie“.

— Księgarnia Paprockiego w Warszawie ogłasza prospekt na wydanie dzieła Ch. Seignobosa „Historja cywilizacji od najdawniejszych czasów do naszego wieku“, w przekładzie Ad. Dygasińskiego.

„Kurjer codzienny“ umieścił początek bardzo ciekawej powieści p. Rapackiego „Do światła“ opartą na faktach dzie-

jowych z początku XV. wieku. Przedmiotem powieści jest ciekawy fakt zdemaskowania kobiety, która w mężkiem przebraniu uczęszczała na kursy akademji jagiellońskiej.

— Pojawiła się odbitka z „Przeglądu technicznego“ p. t. „Instrukcja o zakładaniu gromochronów przy budowalach“, rzecz napisana przez dra Leonarda Webera, prof. uniwersytetu wrocławskiego, w przekładzie inż. A. Hołowińskiego.

— Specjalna literatura lekarska zbogaconą została obszernem dziełem dra A. Fabiana p. n. „O warunkach powstawania i znaczeniu klinicznym podwyższenia ciepłoty w gorączce“. Pierwszy zeszyt tej książki, drukowanej poprzednio w „Pamiętniku Towarzystwa Lekarskiego“, opuścił prasę i obejmuje aż 40 stronic druku, w drugim zeszycie będzie dokończenie pracy. Dzieło to jest studjum krytycznem obejmującym i krytycznie zestawiającem poglądy wszystkich autorów, na tę tak ważną kwestję a historia jej rozpoczyna się od czasów Hipokratesa i Galena, gdyż gorączka była objawem dostrzeganym przez wszystkich badaczy i naturalnie zawsze podniecała ich ciekawość, pobudzając do badań. W pierwszej części pracy, którą mamy przed sobą, znajdujemy dwa rozdziały: 1) Ciepłota ustroju w stanie zdrowia i 2) Zbożenie chorobliwe w gospodarstwie ciepłokowem podczas gorączki. Druga zaś część, też kompilacyjno-krytyczna, ma objąć następujące cztery rozdziały: 1) Skutki wysokiej ciepłoty w tkankach i narządach. 2) Ciepłota, jako środek rozpoznawczy w chorobach. 3) Ciepłota, jako moment zakaźniczy. 4) Ciepłota wobec wskazań leczniczych.

Dzieło to jest wyczerpującem jako praca krytyczna, nie zawiera jednak własnych doświadczalnych poszukiwań autora. Styl i jasność wykładu nie pozostawiają nic do życzenia, z czego już oddawna znany jest autor książki.

— Konwencja literacka francusko-rosyjska z r. 1861, jak donosi „Temps“, nie będzie wznowioną. Natomiast rząd rosyjski okazał gotowość przystąpienia do zawarcia innej konwencji, na nowych podstawach; poprzednio jednak jeszcze ma on zamiar opracować przepisy, określające warunki działalności wydawniczej w Rosji i odpowiedzialność za naruszenie praw własności literackiej i artystycznej.

— Z fundacji Bieleckiego ogłoszono konkurs: „Franciszek Wężyk, monografia bibliograficzna“.

— Czesi w Winnowie (w Minnesocie) uczcili pamięć Kraszewskiego nabożeństwem żałobnem. Po mszy były mowy czeskie, polskie i angielskie na cześć zmarłego pisarza.

— Sacher-Masoch utkał znowu z nitek głupoty i oszczerstwa Łachman p. t. „Polnische Geschichten“. Jest to zbiór powiastek bzdurnych i bezcelnych.

— Listy Ferdynanda Lassala, słynnego wyznawcy socjalizmu, uważane dotychczas za zaginione, zostały w tych dniach odnalezione i mają być w jesieni ogłoszone drukiem. Pochodzą one z ostatnich miesięcy życia socjalisty i mają zawierać wiele ciekawe wynurzenia miłosne. Lassalle, który był, jak wiadomo, stronnikiem Bismarka, kochał się wówczas w Helenie Dönniges. Znalezione listy odnoszą się właśnie do tego stosunku i rzucają ciekawe światło na romantyczną postać trybuna.

* * *

Teatr i muzyka.

— Pp. Abrahamowicz i Ruszkowski wykończają dla teatru lwowskiego nową farsę „Pospolite ruszenie“.

— We Lwowie, od 1. października na rok cały zaangażowano p. Zimajerkową, a pierwszą nowością będzie „Włóczęga“ Millöckera.

— Z Krakowa. Bawiąca w podwawelskim grodzie opera lwowska, zaprosiła na trzy występy panią Adolfinę Zimajer. Publiczność tłumnie się zbiegła na „Maskotę“, „Książkę“ i „Wesołą wojnę“. Z przyjemnością zauważyliśmy, że artystka nie straciła, przeciwnie, wyrobiła sobie jeszcze większą naturalność i prostotę, któremi wojuje z powodzeniem. Gra to powściągliwa, na dobrych odcieniach oparta, unikająca szarży jak śmiertelnego grzechu. Głosik, jak dawniej, mały, cienki dość, ale czysty, i nie bez wdzięku używany. Zręczne użycie umiarkowanych środków — o to główna zasługa pani Adolfiny Zimajer.

— Pan Henryk Jarecki skomponował nową operę „Balladyna“.

— P. Michał Bałucki złożył dyrekcji krakowskiego teatru nową komedię, która podczas wystawy przedstawioną zostanie. Tytuł jej: „Nowy Dziennik“ wskazuje, że nowy utwór autora „Radców“ poświęcony jest charakterystyce naszego dziennikarstwa.

— Sienkiewicza „Bartek zwycięzca“ przerobiony na scenę z muzyką Michała Hertzga, ujrzy światło kinkietów na scenie krakowskiej w ciągu września.

— Komitet wystawy krajowej, mającej jak wiadomo, odbyć się w Krakowie, ogłasza konkurs, którego warunki są następujące: 1) Rozpisuje się konkurs na dzieło muzyczne treści religijnej do strof Psalmu 46-go Kochanowskiego. 2) Konkurować mogą dzieła na chór męski z tow. orkiestry lub na sam chór. Pierwszeństwo jednak będą miały utwory z tow. orkiestry. 3) Dzieła odszczególnione przez komisję przygotowawczą, wykonane zostaną na jednym lub dwóch koncertach, które się odbędą na kilka dni przed zamknięciem wystawy. 4) Wyznacza się trzy nagrody, pierwsza wynosząca 300, druga 200, trzecia 100 złr., za utwory uznane za najlepsze przez jury, którego skład ogłoszony będzie na 10 dni przed wykonaniem utworów. 5) Termin nadesłania partytur oznacza się na dzień 5 września do godziny 6 wieczór. 6) Partytury nadesłane pod adresem: Komitet wystawy krajowej w Krakowie, oddział sztuki polskiej, konkurs muzyczny, należy zaopatrzyć godłem, które powtórzone być winno na kopercie, zawierającej nazwisko kompozytora.

— Letnie teatryki warszawskie w tym roku niejednokowo prosperują. Najlepiej się dzieje p. Puchniewskiemu w „Belle-vue“. Operetka Meyer'a „Błazen“ („Der Hofnarr“) okazała się złotodajną kurą. W tym teatryku odegrano przeróbkę dramatyczną „Wielkiej margłowni“ Ohnet'a, dokonaną przez p. Kosiakiewicza, który zadebiutował jako nowelista dość szczęśliwie.

— W teatryku „Nowy Świat“ ruchliwie sobie poczynają p. Sarnowski, któremu dopisała najnowsza farsa „Florek“, napisana przez autorów „Męża z grzeczności“ pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego. Sztuka pełna jest doskonałych pomysłów, sytuacji świeżych, figur zgrabnie szkicowanych.

— Najmniej uśmiecha się powodzenie p. Szymborskiemu w „Alhambrze“, chociaż posiada on właściwie najlepszy dobór sił dramatycznych. Przyczyną tego niezaradność dyrektora, który odgrzewa stary repertuar i nie umie postarać się o nowości dobre i ciekawe.

— Teatr Letni wystawił dramat „Męczennica“ (La martyre), napisany przez znaną spółkę d'Ennery i Tarbé. Jest to tak zwany „melodramat we fraku“, tracący dawną manierą, pełen jaskrawych sytuacji, przepejony łzami, pełen zbrodni, postępów heroicznych, czarnych postępów.

— Warszawscy gitarzyści zawiązują się w klub, mając nadzieję, iż w listopadzie otrzymają pozwolenie władzy.

Sztuki plastyczne.

— Budynki wystawy krakowskiej są już gotowe od 10. sierpnia i oddane na użytek wystawców, pawilon wystawy etnograficznej będzie obejmował 300 m. kw. i kosztuje 3000 zł.; ceny biletów wstępu zwykłych dni wynoszą 50 ct., w środy 30 ct., 10 ct. w niedziele i święta; katalog wystawy wyda Kornecki, dziennik wystawy Kaz. Bartoszewicz.

— Na wystawę krakowską p. Szyndler wysłał dwa obrazy rodzajowe, a rzeźbiarz p. Kryński grupę „Miłosierdzie“.

Poświkówna wysłała na wystawę krakowską parawan, malowany w owoce i kwiaty na tle pejzaży.

Ażeby zebrać jak największą ilość okazów w dziale sztuki ruskiej z Galicji na wystawę krakowską, p. Przeddziecki wybrał się do Przemyśla i Lwowa, a p. Ziemięcki po kościołach podkarpackich.

— W krakowskiej szkole Sztuk pięknych przyznano medal złoty p. H. Liszewiczowi, uczniowi klasy malarskiej za kompozycję obrazu, Tadeuszowi Matejce srebrny, a brązowy p. Janowi Waszkiewiczowi za rzeźbę.

— P. Wahl uczeń krakowskiej akademii sztuk pięknych otrzymał w Wiedniu akademickie stypendjum w kwocie 2000 zł. rocznie i wyjeżdża na trzyletni pobyt do Włoch. P. Wahl był przed kilku laty uczniem krakowskiej szkoły sztuk pięknych, gdzie na kursach rysunkowych odznaczył się talentem, za co odpowiednią nagrodę otrzymał. Następnie w Monachjum w ciągu lat czterech pozyskał medal i trzy nagrody. W 1885 na konkursie akademii berlińskiej jako Polak nie zawahał się stanąć do walki i otrzymał również pierwszą nagrodę 2.500 marek. Był to jedyny Polak, który wyszedł zwycięsko na konkursie berlińskim.

— P. Styka w Paryżu namalował portret Mierzińskiego w roli Raula z Hugonotów.

— Andriolli, znakomity rysownik polski, bawiąc w ciągu tegorocznego lata na Wołyniu, powiększył swą tekę niejednym cennym rysunkiem. Zwiedził on między innymi starożytny zamek radziwiłowski w Ołyce. Rysunek, przedstawiający tę piękną budowę, ukaże się zapewne w jednym z pism ilustrowanych. Zamek ołycki jest dziś już prawie zupełnie odbudowany z gruzów.

— W Poznaniu ma być wystawionym najnowszy obraz Henryka Siemiradzkiego „Szopen, grający w salonie ks. Antoniego Radziwiłła w Berlinie“.

— Ludwik Knaus wygotował dwa obrazy nowe „Sic transit gloria mundi“ i „Idylla macierzyńska“ na tle pejzażu.

— Do salonu Tow. sztuk pięknych w Warszawie przybyły: „Poświkowej „Kwiaty“, Pszorna „Krajobraz letni“, K. Mireckiego „Portret chłopczyka“, Dukszyńskiej „Mój kotek“, Stelmaskiego „Na łące koniczyny“ i „Przed lasem“, Karola Bliskiego „Wieczór“.

— Zygmunt Ajdukiewicz wykonał duży karton do powieści Sienkiewicza „Potop“, przedstawiający przysięgę Kmicica przed Radziwiłłem.

Zmarli.

— W Warszawie zmarł Władysław Dłużniewski, spółnik firmy Paprockiego, bibliofil i wydawca. W szeregowaniu materiału do „Wiad. bibliograficznych“ położył zasługi.

— Ks. kanonik Sztulc, ceniony poeta czeski i tłumacz wielu utworów polskich, zwłaszcza Mickiewicza.

— **Michał Pavlinović**, patrjota chorwacki i literat. Ur. 1831 w Podgórzu w Dalmacji. Jemu Dalmacja winna swoje odrodzenie umysłowe i wskrzeszenie nauk w języku ojczystym. Do r. 1860 tylko pomiędzy ludem wiejskim słyszano mowę chorwacką. Pierwszy Pavlinović, jako poseł na sejmach krajowych, zaczął przemawiać językiem chorwackim i domagać się dlań prawa obywatelstwa.

— Johannes Nordmann, senior wiedeńskich dziennikarzy, literat i poeta, prezes Stowarzyszenia literackiego w Wiedniu „Concordia“, zmarł w 67. roku życia.

— Aleksander Balasz, pisarz dramatyczny i sekretarz teatru narodowego w Peszcie.

— Ludwik Merante, dyrektor baletu w Paryżu i autor wielu baletów, jak: Sylvia, Yedda, La Carigana, zmarł w Paryżu.

— Jan Hanusz w Paryżu, językoznawca i slawista. Ur. w Samborze 1857 r. Szkoły skończył w Stanisławowie o własnych siłach. Na uniwersytecie lwowskim studiował lingwistykę. Dalsze prace specjalne prowadził pod kierunkiem Mikłosicza w Wiedniu, poświęcając się głównie sanskrytowi, za pomocą którego wykazał wiele nowych zasad, służących do rozwiązania zawiłości w gramatyce i głosowni słowiańskich narzeczy. Doktoryzował się w Berlinie, egzamin nauczycielski złożył w Krakowie. W r. 1884 powołany na docenturę do wyższej szkoły wiedeńskiej, wykładał tam sanskryt. Napisał kilka rozpraw specjalnych po niemiecku.

ZADANIA.

Kryptogram.

1.	a	a	a	a	a	drzewo
2.	a	a	a	a	a	wyrób wschodni
3.	a	c	c	d	d	narzędzie
4.	d	d	g	g	h	roślina
5.	h	h	i	i	i	malarz
6.	j	k	k	k	k	owoc
7.	k	ł	ł	ł	m	moneta
8.	m	m	n	n	n	ptak swojski
9.	n	n	ń	o	ó	poeta
10.	o	o	o	p	p	osoba duchowna
11.	r	r	r	s	s	materiał
12.	s	s	t	t	t	imię żeńskie
13.	t	t	u	u	u	środek cywilizacyjny
14.	u	w	w	y	y	owad
15.	y	y	y	z	z	naczynie

Z powyższych liter ułożyć 15 wyrazów (każdy o pięciu głosekach), których znaczenie obok podane. Środkowe litery z góry na dół czytane tworzą tytuł czasopisma literackiego.

II. ZADANIE KONIKOWE.

			dzy	ła								
			ścieo	ży	przę	mie						
		ko	zła	da	my	znie	o	dze	rza			
		wne	swych	wa	nie	o	śli	nie	wie			
	tek	ma	i	pie	da	gmin	sto	stra	i	mie		
na	mi	rza	go	dnym	ty	lud	gmin	sei	twój	na	swych	
miał	ry	młod	tyś	skła	śni	broń	na	isz	ży	sny	przy	
	cio	pa	ce	swe	ża	na	bie	lud	ko	u		
		ko	sze	do	w to	ty	la	na	wła			
		sem	go	ar	mi	ro	cię	ar	czuć			
			pó	we	ty	kvia						
				ty	ki							

Rozwiązanie zadań z XVI. zeszytu.

Piramida głoskowa.

			o					
		a	j	a				
		a	c	z				
		b	e	z	i	k		
		s	t	y	k	a		
p	u	s	z	c	z	a		
f	r	a	n	c	y	a		
g	i	m	n	a	z	y	u	m

O j c z y n a.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Argasińska Stanisławów. Köhler Kraków, Kasyno Bochnia, Łobos Miłówka, Nazarewicz Łańcut, Bernacka Kraków, Świtkowski Tarnopol, Tyrcha Basznia, Piepes Lwów, Lehman Wyżnica, Soroczyński Kuty, Sadowski Mikulińce, Dziewoński Jarosław, Zarząd dóbr Żniatyn, Podgórski Radłów.

Przy losowaniu premję wygrał p. Fr. Tyrcha w Baszni, p. Horyniec.

Zadanie konikowe,

Śmieszne ludziom cudze bole,
 Śmieszne ludziom troski cudze.
 Myśli moje, och sokole!
 Lećcież dalej, wyżej, wyżej,
 Coraz wyżej, coraz chyżej...
 Ja sokolim waszym lotem
 Senne gwiazdy w drodze zbudzę;
 Ponad chmury z wami wzleczę;
 Pobratam się z gromem, grzmotem,
 Jasnem słońcem tam zaświecę.

I wzrok ziemski olśnie ludzi...
 I słuch ziemski hukiem stłumię.
 Aż zbłąkają się w rozumie,
 Aż ich dusza się rozbudzi.

M. B. S.: 1887.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Köhler Kraków, Łobos Miłówka, Świtkowski Tarnopol, Tyrcha Basznia, Rajewski Bóbrka, Soroczyński Kuty, Dziewoński Jarosław, Podgórski Radłów.

Przy losowaniu premję wygrał p. Wł. Świtkowski inżynier w Tarnopolu.

Zadanie szachowe.

Białe:	Czarne:
1. g 2 — e 3 +	d 5 bije e 4
2. d 1 — e 1	e 4 bije e 3
3. f 6 — e 5 mat.	

Skrzynka grafologiczna.

P. H. L. w Żniatynie. Jesteś pan trochę porywczy i prędki, ale zresztą poczciwy i dobry. Lekkomysłowość cechująca pana z czasem przemienie.

P. M. D. w J. Lekkość i swoboda w obejściu połączona z dobrem wychowaniem sprawia, że pana wszędzie chętnie widują. Przytem jesteś pan bardzo zarozumiały i nie grzeszysz zbytnią dobrocią.

Korespondencja Redakcji.

P. Iwanicki, Borysław. 1) Jedynym radykalnym sposobem usunięcia grzyba domowego jest zastąpienie dotkniętych nim belek nowemi. 2) Miejsca zranione nasmarować terpentyną.

P. M. M. we Lwowie. Oceny grafologiczne podajemy tylko tym, którzy ich sami żądają, nigdy zaś na żądanie osób trzecich. Dlatego nie możemy uczynić zadość prośbie.

Za rozwiązanie zadania konikowego przeznacza się jako premję: Jeske-Choińskiego „STĘUMIONE ISKRY“.

Za rozwiązanie kryptogramu przeznacza się jako premję Michała Jezierskiego „OSTATNIA MIŁOŚĆ OSTATNIEGO KRÓLA“.

TREŚĆ: Piekiełko, powieść Michała Wołowskiego. — Poezja: Przekład z angielskiego Shelley'a: Do...! Filozofja miłości, przez E. P. — Ruch naukowy: Opis zaćmienia, wedle Flammariona i Arago. Słońce, nap. Merczyng. Zaćmienie słońca ze stanowiska astronomicznego, przez Józefa Kleibera. Zaćmienie słońca ze stanowiska fizycznego, przez dra Jędrzejowicza. Przepowiednie na rok 1887, przez Wł. Żurowskiego. Wynik obserwacji zaćmienia słońca z d. 19. sierpnia. — Jad, powieść Al. Kiellanda. — Kronika powszechna. — Ruch kobiecy: Kobiety w przysłówiach ludu francuskiego, włoskiego i rosyjskiego (wedle Leonarda Freunda). Listy o strojach kobiecych, przez Justynę Gostyńską. Panna-Doktor, przez Karolę Neumann-Strellę. Kroniczka dla kobiet. — Ruch literacki i artystyczny: Teorja epopei nowożytnej, przez A. N. Salon paryski (ciąg dalszy). — Kronika literacka i artystyczna. — Zagadki. — Rozwiązania. — Skrzynka grafologiczna. — Korespondencja Redakcji.